MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 44. WARSZAWA, 27 PAŹDZIERNIKA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

WIEJSKIE PROBLEMY

ROLNICZOŚĆ naszego narodu sprawia, że i dziś jeszcze, mimo miljonowej Warszawy, fabryk Łodzi i kopalń Śląska, nie problemy miejskie są decydujące dla naszej przyszłości, ale problemy wsi. Wieś postaremu jest kluczem do zagadnień Polski, o której losach i wielkości rozważając, na wieś się patrzy i o niej myśli. I wszystko jedno, czy w dzisiejszej wsi zobaczy się dobro i ufnie wierząc, że „zbawienie leży pod siermięgą” cieszyć się będzie, że ona przestaje już być dworską i rodzi komunistyczną poezję Skuzów — czy też żałując dworu martwić się będzie nad jego ruiną i parcelacją — zawsze tam na wsi będzie węzeł gordyjski naszej przyszłości i kwestja naszego bytu.

Ale mogą być różne spojrzenia, i na dzisiejszą wieś patrzymy przedewszystkiem jako na wieś, widząc w niej tylko chłopa; — dwór i ziemiaństwo zeszły gdzieś na plan dalszy, a przyznam się, że dla mnie takie patrzenienie na nią jest właśnie czemś fałszywem i to mimo cały niezaprzeczalny upadek ziemiaństwa i jego niewątpliwie niski dziś poziom. Tak bowiem rzeczy biorąc, zapomina się o tem, że chłop zawsze będzie tylko źródłem sił narodowych, ale źródłem biernem, wymagającem kierownictwa i opieki. Chłop może zasilać warstwy inteligenckie, ten mózg narodu, tak, jak je zresztą zawsze zasilał, ale sam nigdy kierownictwa nie obejmie, bo wtedy przestałby być chłopem. I dlatego też sprawa wsi, to przedewszystkiem sprawa jej kierownictwa, a więc tak czy owak dworu, — bo jest to nic innego jak odpowiedź na pytanie, czy dwór potrafi dalej wsią kierować, czy też wieś będzie musiała wytworzyć sama jakieś nowe ośrodki kierownicze. W tem leży całe zagadnienie.

Ja w tym artykule (wierząc, że ktoś mię jeszcze uzupełni) zajmę się właściwie tylko odpowiedzią na pierwszą część pytania, — o chłopskiej wsi mówić będę o tyle, o ile ona jest widoczna z dworu i z dworem związana. Zresztą odpowiedź taka, choć niby połowiczna, już z natury rzeczy obejmie całość zagadnienia, które się dzielić nie daje.

Sprawa wsi — ponieważ chodzi w niej o kierownictwo, jest więc sprawą autorytetu i tu zaraz stwierdzić trzeba, że dziś na wsi niema żadnego autorytetu, bo nie jest nim narazie ani dwór, ani dzielący z nim dawniej tę pozycję ksiądz, ani przeciwstawiany im obu nauczyciel.

Że nie jest autorytetem nauczyciel, nad tem nie ubolewam. Ten autorytet był zanadto dziewiętnastowieczny, zanadto służył „Postępowi”, zabardzo niósł kaganiec oświaty, czasem problematycznej wartości. Mówiąc ostro, ale prosto, to właściwie on często „przewracał w głowach” i jego pożytki były nieraz minimalne. Dotychczasowa szkółka wiejska bywała doktrynerska i szablonowa, niedostosowana wcale do potrzeb wsi i psychiki chłopskiej, budząca w wiejskiej młodzieży nieznaną jej przedtem tęsknotę do miasta i przerabiająca ją na wzór czegoś chyba najgorszego, bo proletarjatu wielkich miast. To też, że ludowy nauczyciel, oszukujący przy wyborach gminnych i zachęcający do przeróżnych składek i ofiar (mam na myśli „kult”), przestał być dzisiaj autorytetem, to jest raczej dobre, bo odgradza wieś od tego całego ginącego świata i jego bezwartościowych dziś pojęć — gorzej jest za to z dwoma pozostałemi autorytetami, bo ich wpływ był stanowczo dodatni, a szkoda tu polegała najwyżej na tem, że tego wpływu nie było.

Nie jest dziś autorytetem ksiądz, bo wieś przeżywa (w znacznej mierze wskutek tego, że swego czasu wielkim autorytetem był nauczyciel ludowy) spóźniony proces emocjonowania się przeżytemi ideałami wieku oświecenia. Tak jak szlacheckie pawie pióra z hełmów rycerskich i herbowych zawędrowały do krakusek, tak samo te niegdyś emocjonujące inteligencję nowości z przed stu lat — epatują dziś chatę i dzisiaj na wsi religijną jest tylko starsza generacja chłopska i młodsza dworska, a nie młodzież bardzo niewierząca i „nieprzesądna". Tę niepożądaną ewolucję zawdzięczamy potrosze jednak i samemu klerowi, który nie potrafił ratować swego autorytetu i łowić dusz, a przeciwnie zrażał nieraz do siebie ludność interesownością i chciwością. Ksiądz, który za pogrzeb przy dzisiejszej nędzy wsi domaga się siedemdziesięciu złotych, nie może mieć miru i poważania — wieś jest biedna i potrzebuje ewangelicznych ludzi.

Tych jednak narazie niema i to przedewszystkiem dlatego, że gdy proces odrodzenia religijnego rozpoczął się dopiero pośród inteligencji — seminarja duchowne zapełniają chłopi, nie tyle *propter Jesu*, ile *propter esu*. Synowie chłopscy garną się tam przeważnie dla karjery, w sukience duchownej widząc nie oznakę szczytnej służby Bożej, ale środek do wydźwignięcia się, dawnej szlacheckiej „krescytywy" — w myśl tego dziś już raczej nieaktualnego przysłowia, że „kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie". Jasna rzecz, że ten chłopski kler, tak niewysokiej naogół próby, nie może mieć wśród swoich wielkiego poważania — przeciwnie nieraz otoczony jest pogardą,—„krew pańska jest zaszczyt przed gminem" i rzadki dziś ksiądz z „panów" ma tysiąc razy większe apostolskie możliwości i, naogół biorąc, tysiąc razy lepiej je spełnia. Rozpisuję się nad tem tak obszernie, bo to, co tu można obserwować, a co jak mi się zdaje, nie jest tylko objawem lokalnym, i nad czem wszyscy na wsi biadają, a już najwięcej prawdziwe z powołania duchowieństwo,—potwierdza przecież moją tezę, że choroba wsi — to choroba jej duchowych przewodników. Brak księżych powołań wśród inteligencji i spowodowany niem rozpaczliwie niski stan wiejskiego kleru, wyraźnie dowodzą, że drogą do naprawy stosunków jest, jak zawsze, naprawa góry, a nie mimo całą swą paradoksalność — podstaw — owszem podstaw, ale ideowych, bo prawdziwą podstawą jest góra, i tak jak ruina budowli zaczyna się nie od fundamentów, ale od dachu, tak samo i społeczeństwa rozkładają się od góry...

A dzisiaj, trzeba to sobie jasno powiedzieć: stan wiejskiej góry jest rozpaczliwy. I to nietyle nawet materjalny, choć i ten jest nad wyraz lichy, ale moralny. Brak tu wszelkiego pionu, niema żadnej myśli, a co najważniejsze niema odwagi. Jedyna mądrość to oportunizm, szukanie silniejszego i nadskakiwanie będącym u władzy. Takie ziemiaństwo nie może mieć mocnej pozycji w narodzie, i nie może sobie zjednać niczyjego szacunku. Przykro to stwierdzić, ale dzisiejsze pokolenie ziemiaństwa, w swojej większości nie wypełnia najmniejszych nawet obowiązków narodowych, a przeciwnie te obowiązki zdradza. Myśli tylko o sobie, krótkowzrocznie i naiwnie pilnując swoich klasowych, materjalnych interesów, zapominając, że „*noblesse oblige*" i że powoływanie się na zasługi przodków trzeba zawsze uzupełnić jeszcze swojemi zasługami. Jeśli się o tem nie pamięta, to nie ma się prawa do kierowniczych miejsc w społeczeństwie. Sygnet nie jest ozdobą palca, ale jak ślubna obrączka symbolem pewnych obowiązków i nadużywać go nie można. Nie można zdradzać siebie przez wypieranie się swojej idei, — a tymczasem tak zrobiono i dziś ideałów dworu polskiego trzeba szukać naogół biorąc poza dworem, bo we dworach rządzą inne ideały, a raczej brak ich zupełnie.

Trudno się więc dziwić, że przy takim stanie rzeczy podnoszą się coraz częściej głosy, domagające się urządzenia Polski narodowej bez ziemiaństwa. Nie jest to jednak słuszne. Wykreślenie ziemiaństwa z naszego życia narodowego byłoby takim przewrotem i taką przemianą duszy narodowej, że taki radykalny krok usprawiedliwić by można jedynie zupełnem zwątpieniem o wartości tej warstwy, Tymczasem w ziemiańskiej Sodomie znajdzie się więcej niż dziesięciu sprawiedliwych — a pamiętać też należy, że bogactwo i różność klas społecznych stanowią o sile i kulturze narodu. Nie poto jesteśmy narodem historycznym, by świadomie redukować się do chłopskiej masy i świeżej ludowej inteligencji, takie uciekanie w etnos zaszkodziłoby tylko naszemu etosowi, na który się składały wieki. Naród jest trwalszy od jednego pokolenia i dlatego niedociągnięcia jednego pokolenia nie mogą decydować o losie jakiejś jego warstwy. Przyszłe pokolenia winny odrobić winę dawnych, — nie można lekkomyślnie gasić choćby tylko tlejących ognisk kultury pod pozorem, że zastąpią je jakieś inne, których nie wiadomo nawet gdzie szukać.

Nie wiadomo gdzie szukać, bo gospodarstwo wielko-chłopskie, którego się nachwalić nie może każdy teoretyk polityki agrarnej — u nas jest nieistniejącem marzeniem. Pięćdziesiąt lat wytężonej parcelacji (mam na myśli województwa centralne) nie potrafiło dotychczas tej warstwy zbudować, a jakoś nie zanosi się na to, by ona teraz powstała. Postaremu na naszej wsi jest tylko dwór i gromada; nieliczne fermy kończą prędko swój żywot, bo pozycja społeczna ich właścicieli jest nie do utrzymania; — o ile są bogatsi, usiłują wtargnąć w ziemiaństwo bez większych dla niego i dla siebie

korzyści, — o ile są biedniejsi, dłużej się trzymają, ale i to zwykle chłopieją przez działy; — sami oddzielną warstwą nie są, bo jest ich zamało, wiszą więc nieco jakby między niebem a ziemią. Zostawiane przy parcelacjach ośrodki, w większości wypadków tej warstwy nie tworzą, bo kupują je zwykle ludzie z *gentry*, a więc tego co i ziemiaństwo pokroju, chyba więc jakieś kooperatywy byłyby ewentualnym sukcesorem po dworze.

Ale szukać tego sukcesora nie potrzeba, bo dwór tak jak i ksiądz swe dawne stanowisko odzyskać powinien i ma jeszcze siły potemu. Pierwsze jaskółki odrodzenia już widać, młode pokolenie jest inne, a przedewszystkiem czasy na wsi są takie, że dziś na niej wyżyć bez wytężonej pracy nie można, co już niejako jakby zmusza do poprawy, bo praca, a zwłaszcza praca na roli, to pierwszorzędny czynnik wychowawczy; — przez pracę więc ziemiaństwo odzyska swoją wartość. Może przy tych nowych przemianach straci dużo słodycz życia wiejskiego, jego charakter wymarzonej przystani (zostanie to chyba tylko w tych resztówkach, których właściciele z *gentry* nie czerpią z nich głównych dochodów, a mieć chcą na wsi tradycyjne *tusculum*), ale zyska dwór jako wartość narodowa i cywilizacyjna. Wróci on do dawnego hasła: „miły po pracy spoczynek", gdy dzisiaj radby je zamienić na tak wygodne a niegodne: „miły bez pracy spoczynek".

Naród odzyska wtedy swą przez wieki kierowniczą warstwę—a wieś naturalnego przewodnika.

KAROL STEFAN FRYCZ

DUCE i FÜHRER

DZIEJOPIS przyszłości będzie liczył nowe rozdziały europejskiej historji niewątpliwie od dwu dat czasów powojennych, w których dwa wielkie narody Europy stanęły u wrót nowej epoki swych dziejów. Pierwszą datą—to 28 października 1922 roku, gdy Mussolini na czele czarnych koszul wkroczył do Rzymu. Drugą — to 30 stycznia 1933 roku, kiedy Hitler, przywódca „brunatnych koszul", został kanclerzem Niemiec. Oba te dni nietylko uwieńczyły dwie dziwne karjery ludzkie, lecz wniosły też rozstrzygającą zmianę w życie tych obu narodów. W Italji doszedł do władzy zwycięski faszyzm, a w Niemczech ujął ster rządów triumfujący narodowy socjalizm. Dwa te ruchy objęły kierownictwo nad życiem swoich narodów i oba na gruzach porażonego marksizmu, a na podłożu własnych idej i zasad, przekształciły do głębi państwo i społeczeństwo. W Italji ruch faszystowski wytrzymał już próbę czasu: przez 12 lat odnowił istotnie cały kraj. Natomiast 2-letnia zaledwie „Trzecia Rzesza" wije się jeszcze w ogniu gorączkowych przemian i narazie jest niczem innem, jak tylko wielkiem, próbnem doświadczeniem, które — pomimo wszelkich, niezaprzeczonych wyników — niewiadomo, jaki obrót nadal weźmie.

Ale od ruchów i ich skutków interesują nas bodaj bardziej ludzie, a mianowicie: ci dwaj ludzie, którzy tym obu kierunkom przewodzą i te najosobistsze dzieła swego ducha zdołali zwycięstwem uwieńczyć. Bo też nadzwyczaj interesującą jest rzeczą porównać Mussoliniego i Hitlera, te bożyszcza własnych narodów z jednej, a najpopularniejszych ludzi Europy z drugiej strony, i to nietylko dla głębokiego podobieństwa ich ruchów pod względem duchowym i treściowym, ale też dlatego, że pochodzenie, punkt wyjścia i koleje życia obu wodzów dwu państw są rzadkiem zjawiskiem — pomimo wszelkich plemiennych i narodowych różnic — zgodności: łączy ich tak zdumiewające, rzekłbyś, cudowne pod niejakim względem pokrewieństwo, jakiego przykładów historja niewiele dostarcza. Lecz zestawienie tych dwu ludzi jest interesujące również dla czegoś innego. Oto w świadomości ogółu obaj wodzowie przedstawiają ludzi, którzy — jeśli chodzi o ich osobiste wartości i zdolności — stoją mniej więcej na tym samym poziomie i tę samą mniej więcej indywidualność i naturę w swych osobach odzwierciadlają. A jednak nic bardziej przeciwnego i różnego jak osobowość dwu tych ludzi! Obu cechuje wprawdzie siła i wytrwałość ducha, lecz z jakiemiż krańcowemi przeciwieństwami odrębnej budowy psychicznej! A ten szczególny, indywidualny charakter znamionuje nietylko ich samych, ale, jak rysy ojca przechodzą na syna, tak on wycisnął swe piętno również na obliczu ich ruchów. Zadziwiające natomiast podobieństwo, które wiąże ich losy i życia koleje można już dostrzec w pochodzeniu i urodzeniu obydwu. Jeden i drugi przychodzi na świat w 80 latach ubiegłego stulecia i obaj rodzą się na wsi. Jeden i drugi ród swój wywodzi z tej samej warstwy społecznej, którą jest pochodząca z włościaństwa drobnomieszczańska lub rzemieślnicza: klasa społeczna, która zerwała już wprawdzie więzy, łączące ją z ziemią, lecz jeszcze nie stopiła się z nową warstwą o tyle, by nie czuć już w sercu i we krwi wołającego wciąż jeszcze zewu ziemi. Z tej sfery pochodzą rodziny Mussoliniego i Hitlera. Ojciec pierwszego był prostym, wiejskim majstrem kowalskim, drugiego zaś drobnym urzędnikiem celnym, którego wszakże rodzice byli jeszcze prostymi, wiejskimi gospodarzami. Rodzina, w której kręgu upływają obu lata dziecinne, naturalnie wywiera bardzo silny wpływ na urobienie ich osobowości. Drobnomieszczańskie środowisko, w którem syn niższego urzędnika celnego spędza pierwsze dziesięć lat dziecięcego wieku, wyciśnie bez reszty swe piętno i będzie rysem zasadniczym nietylko usposobienia przyszłego męża stanu, lecz także jego ruchu. Mussoliniego natomiast koło rodzinne wychowuje na przyszłego rewolucjonistę. Jego ojciec już we wczesnej młodości staje się żarliwym wyznawcą socjalizmu, a osiedliwszy się w Verano, zostanie później kierownikiem tamtejszej organizacji. W jego warsztacie, dzień po dniu, do późna w noc, toczą się obrady o sprawach robotniczych, strajkach i palących zagadnieniach włoskiego socjalizmu, których mały Benito będzie zrazu przygodnym tylko świadkiem, a później coraz uważniejszym słuchaczem.

Młodość ich biegnie również temi samemi szlakami. Obaj już w wieku dziecinnym są pozbawieni ciepła domowego ogniska. A przyczyną tego: brak pieniędzy. Rodzice nie mogą utrzymać swych dzieci. Mussolini uczęszcza bezpłatnie do szkoły Salezjanów w Faenza, Hitler zaś — straciwszy w 13 roku życia ojca, a w kilka lat później matkę — zostanie malarzem pokojowym, by tak zapewnić sobie kawałek chleba. W tym młodym wieku obaj z własnych zasobów muszą wyżyć, co już wcześnie rozwija w nich samodzielność i ufność we własne siły. Mussolini w 18 roku życia jest już nauczycielem w Gualteri, a swym małym uczniom pisze na tablicy jako hasło słowa: „Kto jest wytrwały, z pewnością cel swój osiągnie!" Hitler tymczasem jeszcze terminuje w Linzu i Wiedniu. Wkrótce jednak zamieniają role. Mussolini porzuca nauczanie, gdyż czegoś więcej pragnie, a Hitler zapisuje się do szkoły w Linzu: chce zostać artytą malarzem. Mussolini z nauczyciela ludowego w Gualteri staje się przygodnym wyrobnikiem, a później pomocnikiem murarskim. Hitler natomiast z czeladnika murarskiego w Linzu przedzierzga się w ucznia szkolnego. Jakiż głęboki to symbol! Obaj przyszli dyktatorzy Europy jako czeladnicy murarscy! Po kilku dziesiątkach lat będą budowali chylące się do upadku państwa. Narazie wszakże jeden w Lozannie a drugi w Linzu nosi kamienie pod budowę domów.

Wychowawcą ich obu jest w tym czasie nędza i głód. Wprawdzie przyzwyczaili do tych dwu opiekunek już w domu rodzinnym. Mussolini np. skarży się gorzko w jednem ze swoich wspomnień, że w latach dziecinnych widział dookoła siebie tylko niedostatek. Mięsa prawie nie jadali, nawet mleko było już dla nich luksusem. On np. dopiero jako dwudziestoletni młodzieniec pił po raz pierwszy kawę, i t. d. W małym domu w Braunau życie nie układało się lepiej, zwłaszcza po wczesnym zgonie głowy rodziny. Lecz był to jeszcze okres luksusu w porównaniu z tem życiem, które ich później czekało. W Lozannie i Linzu cierpią przeważnie głód w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Sypiają w nocnych przytułkach. Mussolini nawet pod przęsłami mostów szuka na noc schronienia w czasie pobytu w Genewie. Owszem, niekiedy jest nawet zmuszony żebrać, by móc dojmujący głód zaspokoić. Obaj podówczas szukają ukojenia w nauce Marksa, a poprawę swego losu widzą w przyjściu do władzy proletarjatu. Tymczasem oprócz przygodnej pracy zarobkowej uczą się nadal. Mussolini uczęszcza na wykłady uniwersyteckie, młodszy zaś od niego o lat sześć Hitler chodzi na kursy wieczorowe do szkoły w Linzu. Hitler nie mógł długo uczęszczać do szkoły. Pogoń za chlebem zajmuje mu bowiem cały dzień. Praca fizyczna, którą Mussolini w interesie wyższych celów, rzekłbyś, podejmował, była dla Hitlera twardą koniecznością.

Na początku wojny dwaj ci socjaliści z przekonania — znowu ile rysów wspólnych! — idą dobrowolnie na plac boju. Wewnątrz i nazewnątrz już wtedy zrywają obaj z międzynarodowym socjalizmem, stając się fanatycznymi nacjonalistami. W ciągu 4 lat wojny, które niemal przez cały czas spędzają na froncie, ani jeden nie zdobywa wyższej szarży nad rangę sierżanta, choć walczyli zawsze w pierwszych szeregach. Kres zaś ich wojskowej karjerze kładzie wkońcu otrzymanie prawie śmiertelnych ran. Mussoliniego dosięga wybuch granatu, Hitler natomiast ulega ciężkiemu zatruciu gazem. Obaj tygodniami wiszą między życiem a śmiercią. Po wyzdrowieniu poczyna się dla obu bezkrwawa wprawdzie, lecz tem zawziętsza walka z wrogiem wewnętrznym, którym jest zagrażający ich ojczyznom marksizm. Ich drogi życiowe łączy w tym okresie zadziwiające podobieństwo, a także ich ruchy prawie na tych samych szlakach osiągają pełnię rozwoju i ostateczne zwycięstwo. Jedni są również w tem, że podczas organizacji swych partyj i staczanych przez się utarczek nie omija ich także więzienie. Lecz Hitler pod tym względem jest szczęśliwszy. On tylko raz jeden dostaje się za kratki więzienne, gdy tymczasem Mussolini aż 13 razy siedzi za karę w areszcie.

Rozwój zaś ich ruchów niemal według tej samej formuły zmierza do końca. Tam, w Italji, zrazu kilku ludzi, potem nikła gromadka, wreszcie coraz szybciej rosnący tłum, przyłącza się do Mussoliniego. Masa byłych kombatantów tworzy straż przednią, t. zw. walczące oddziały, z któremi Mussolini zdobywa Rzym w październiku 1922 roku. Rozłożyste drzewo partji narodowo-socjalistycznej również z takiego maleńkiego ziarnka wyrosło. Jednak dzieło Hitlera było niewątpliwie trudniejsze. Mussolini, gdy zabiera się do organizowania partji, jest człowiekiem znanym już w całej Italji. Jedni go ubóstwiają, drudzy nienawidzą, lecz wszyscy liczą na niego. Kiedy zaś Hitler poczyna rozwijać działalność, jest zgoła nieznaną jednostką, bezimienną kroplą w wielkim oceanie niemieckim.

To dziwne podobieństwo drogi życiowej Mussoliniego i Hitlera jest zapewne nietylko przypadkowem zrządzeniem losu, ale również następstwem bardzo poważnych przyczyn wewnętrznych. Jednakowe pochodzenie, zgodne okoliczności życiowe można niewątpliwie odliczyć na karb przypadkowego zbiegu okoliczności, ale reszta, to jest podobieństwo kolei życiowych, ten sam sposób wznoszenia się po szczeblach karjery, chyba już mniej. Można to wytłumaczyć jedynie wyjątkowo silną ich osobowością. Obaj są, że tak powiemy, ludźmi jednakowego wymiaru. Stanowią indywidualności nachechowane stanowczą i głęboką ambicją, która znamionuje ród silnych duchów. Przejawia się w nich niezrównana elastyczność i wytrwałość, dzięki czemu wszystko przełamują. Obaj stanowią typ niedościgłych organizatorów. Z niczego tworzą miljonowe partje. Obaj są urodzonymi mówcami, wybornymi agitatorami, śmiałymi aż do zuchwalstwa ryzykantami. Obaj nakoniec to dufne w sobie i samotne duchy. Poza temi jednak ogólnemi, pokrewnemi rysami, są obaj wspaniałymi przedstawicielami dwu szczególnych natur, rzekłbyś, dwu odrębnych światów.

Już zewnętrzny wygląd obu wodzów te odrębne ich właściwości podkreśla. Twarz i wogóle całe zachowanie się włoskiego dyktatora są—doskonałe. Przejawia się w nich dusza wznosząca się wysoko ponad szary tłum. Jego wysokie czoło, dziwną siłę wyrażające oczy, wyniosły wzrok, pełen pewności siebie i wiary w swoje posłannictwo, twardo zarysowane wargi i wystający podbródek — wszystko to stwarza oblicze rzymskiego triumwira i nowoczesnego, rzymskiego arystokraty. A jakiż królewski ma wygląd, kiedy pracuje w zaciszu *palazzo Venezia*, kiedy siedzi na koniu, kiedy szybkim zazwyczaj krokiem śpieszy na czele generałów... *Duce* on rzeczywiście... wódz wybrany, z którego

promienieje dumna świadomość, że wszystko, co ma, sobie jedynie może zawdzięczać, a gdzie się obróci, tam bucha uniesienie tłumów.

Twarz Hitlera nie jest tak wyrazista. Zwyczajne, normalne oblicze, jakich się zdarzają tysiące. Nic w niem nadzwyczajnego, nic przykuwającego. W oczach jego, zamiast blasku wybrania, odbija się prostota spokojnego obywatela lub gniew zirytowanego, prostego człowieka. Wzrok jego wyraża często raczej zmęczenie i przebaczenie, aniżeli entuzjazm i poryw. Umie być wprawdzie posępnym i przeszywającym, ale wywołuje to raczej fascynujący wpływ tłumów, albo jakiś nastrój chwilowy. Czuć wtenczas, że inne jest jego prawdziwe oblicze. Co zaś szczególnie znamienną czyni jego twarz, to chyba zalotnie spadające włosy i osobliwe również wąsy Hitlera. To też karykaturzyści niemal zawsze podkreślają u niego te rysy fizjognomji. Dobrze uczesane włosy Hitlera są otoczone pedantyczną troską, czuć, że ciągle zwraca baczną uwagę na precyzyjność i niezmienność swojej powierzchowności, co znów zbliża do zalotności drobnego mieszczanina.

Dwojaki charakter można również zauważyć w ich czynach i działalności życiowej. Dla arystokratycznej indywidualności Mussoliniego nadzwyczaj znamienną jest przedewszystkiem jego głęboka świadomość własnej wartości, jego samotne usposobienie i wielkie zamknięcie się w sobie. Nie ma przyjaciół i nie jest skłonny do wynurzeń. Ale to nie wynik szorstkości charakteru, lecz zawarcie się w sobie genjusza. Nigdy nie lubi mieszać się z tłumem, raczej stroni od ludzi, niźli prowadzi życie towarzyskie. Nawet względem najmilszych sobie nie umie być poufałym, skłonnym do wynurzeń. Tych, którzy zachowują się grubjańsko lub próbują z nim dowcipkować, mrozi lodowatem spojrzeniem. Wogóle nie lubi dopuszczać blisko do siebie ludzi. Już w wieku dziecinnym był również takim. Ani się nie przyjaźnił, ani się nie poufalił z nikim. Wszystko to wytłumaczyć można poglądem, jaki żywi o ludziach, a który istotnie jest dość pesymistyczny. Podejmuje się wprawdzie kierownictwa ludźmi, ale ich nie ceni, owszem nawet gardzi nimi. Cała jego osobistość jest stworzona do rządzenia. Już w wieku dziecinnym rozkazuje swym towarzyszom. A jeszcze jako młody człowiek, kiedy był członkiem partji socjalistycznej, już wywalczył sobie rolę przywódcy. Nie znosi ograniczenia, podporządkowania, bez względu na to, co w następstwie los mu przyniesie. Nadzwyczaj jest świadom swej wartości, co na bieg jego życia sprowadza często nieprzyjemne skutki. Ale raczej woli cierpieć, niżby miał się ukorzyć. Raczej opuści zakład w Faenza lub porzuci stanowisko, lecz nie uniży się przed nikim. To wyjaśnia fakt, że w przedwojennej Italji tak często zjawia się na coraz to innem miejscu, na coraz to innem stanowisku. Wszędzie ceni nadzwyczaj swą niezależność. Raczej woli żyć w nędzy, niźli mieć lepszą, ale bardziej zawisłą posadę. Drugim, podstawowym rysem jego charakteru — to duma. Lecz nie jest to pycha dorobkiewicza, ale duma człowieka, który jest świadom własnej wartości i tego, że wszystko, cokolwiek wywalczył, sobie jedynie może zawdzięczać. Niskiego pochodzenia nietylko nie ukrywa, lecz się dumnie do niego przyznaje. Daje bez liku przykłady szacunku dla ciężkiej pracy fizycznej. Często się zdarza, przy oględzinach robót publicznych, że wyjmuje łopatę lub kilof z rąk najstarszego robotnika i sam ima się pracy. Znane są jego młócki w Littoria, kiedy on, żywiciel narodu, pracuje godzinami wśród prostych dzieci ludu.

Może się to wyda napozór niezrozumiałe, lecz z jego struktury psychicznej, stworzonej do rządów, wynika spontanicznie, że lubi porządek i karność i wymaga tych zalet nietylko od innych, ale również od siebie. Do dzisiaj np. jest dumny z tego, że był dobrym żołnierzem i że nurtujące w nim uczucia wewnętrzne nigdy wpłynąć nie mogły na jego zachowanie się zewnętrzne. Ulubionem jego słowem jest „hierarchja", a w państwie swojem chce również urzeczywistnić tę gradację ludzkich wartości. Jest wprawdzie nadzwyczaj ambitny, ale duma odgrywa w jego działalności raczej rolę bodźca, rolę siły rozpędowej. Niezmierna władza spoczywa w jego ręku, lecz stosownej miary nigdy nie przebrał. Napoleon u szczytu sławy ukoronował się na cesarza, Mussolini nie przyjął nawet godności książęcej, którą mu swego czasu ofiarowywano. Albowiem tytuł, szarża, błyskotliwe formy zewnętrzne nie mają dlań wartości. Jego celem — wielkość Italji. Znamienne światło na jego indywidualność rzuca zuchwała jego śmiałość i odwaga. Z niesłychaną szybkością prowadzi samolot i auto, kocha się w niebezpieczeństwie i przygodzie.

Osobistość Hitlera nie ma wielu z powyższych rysów. Brak mu zupełnie tych szczególnych znamion, które tak cechują indywidualność Mussoliniego. Niema też w sobie tego arystokratycznego zabarwienia, co tamten. Natomiast bujnie w nim się przejawia drobnomieszczański charakter, będący z jednej strony spadkiem rasowym po rodzicach, z drugiej zaś następstwem wpływów środowiska, w którem za czasów młodości i dzieciństwa przebywał. Wielką doniosłość tych wrażeń na ukształtowanie swojej natury uznaje i podkreśla sam Hitler we własnym życiorysie p. t. *„Mein Kampf"*. Już w tej jego książce uderzają dwa znamienne rysy niemieckiego, przeciętnego obywatela: państwo i — zwłaszcza — ubóstwienie rasy, co wszystko Hitler pomnaża jeszcze przez to, że wyłuszcza te pojęcia według zgoła indywidualnych swoich poglądów, rozumując jak właśnie taki drobny mieszczanin, pragnący znać się na wszystkiem. Stąd wynika, że nie jest przypadkowe, iż on właśnie tworzy najbardziej pogmatwany i najgroźniejszy system partyjny powojennych ruchów politycznych. Taki niemiecki przeciętny obywatel jest niewolnikiem zbiorowej formy życiowej. Lubi się organizować i tylko w masie czuje się dobrze. Hitler także, kiedy uruchomia swe dzieło, przedewszystkiem organizuje partję. Na organizację kładzie główny nacisk. Dlatego powołuje do życia tyle rozmaitych form organizacyjnych: szturmówki, sztafety ochronne i t. d.

Marzeniem przeciętnego, niemieckiego obywatela jest jednokształtność, a stosownie do swego zbiorowego instynktu wysoko ceni nad wszystko militaryzm. Hitler także. Partję swoją, kiedy jeszcze zaledwie ze stu członków się składa, już ubiera w mundury, a sam również przywiązuje się namiętnie do tego zbiorowego ubrania. Czy występuje wobec tłumów, czy się znajduje w zaufanem gronie, zawsze stara się nosić uniform partyjny. W jego naturze leżą skłonności wojskowe. I tego ducha wojskowego wyciska również na wewnętrznej organizacji swej partji. W tem właśnie

leży klucz do zrozumienia tajemnicy jego powodzenia. Hitler bowiem jest tym, który narodowi swemu przywrócił jednokształtność, militaryzm i zbiorową świadomość narodową. To też osobisty jego wpływ jest właśnie największy wśród szerokich warstw przeciętnych obywateli niemieckich. Tu właśnie umie najlepiej przemówić do przekonania i z pośród nich pochodzą też najbardziej zdecydowani jego stronnicy.

Znamienną cechą Hitlera jest pedanterja. Równie wyborny mówca jak Mussolini, ale bez tej błyskotliwej zwięzłości włoskiego dyktatora, Hitler lubi wyczerpać swój przedmiot i dlatego przemawia niekiedy po 2 i 3 godziny. Jego dokładność jest przysłowiowa, a jego wyrachowanie przeradza się aż w skrupulatność. Każdy swój krok obmyśla do najdrobniejszych szczegółów, naradza się ze swymi podkomendnymi, bez których zresztą zdania nie czyni nigdy nic ważniejszego i dopiero potem zabiera się do wykonania. I tu właśnie leży zasadnicza różnica między obu wodzami. Mussolini jest człowiekiem instynktowego działania. Jego postanowienia rodzą się z niesłychaną szybkością, a wykonywa je zawsze podług własnego planu. Hitler natomiast jest człowiekiem rozmyślnego postępowania. Jego decyzje powstają zwolna i przyjmują kształty realne dopiero wówczas, gdy zasięgnie zdania u doradców.

W jego naturze leży wiele sentymentalizmu. Przywiązuje się bardzo do pewnych miejsc, zwyczajów i tradycyj. Każdego roku musi się udać w strony rodzinne, skąd się nie oddaliłby nigdy. Lubi samotność, życie podczas lata na prostą, wiejską modłę, kiedy głównymi towarzyszami są dzieci sąsiadów. Z głęboką tęsknotą wspomina zawsze życie domowe, które, jak czuje, nigdy już nie powróci. Sympatycznym, podstawowym rysem jego charakteru jest wierność i przywiązanie do byłych towarzyszy, których pamięta jeszcze z czasu wspólnych bojów. Jest im szczerze oddany i utrzymuje z nimi najzażylsze stosunki. Jednym z najbardziej zaufanych jest dziś jeszcze jego szofer, z którym wespół służył kiedyś na froncie. Zawsze obok niego zajmuje miejsce, ilekroć wsiada do swego auta, a nawet często jeszcze z nim jada. Odmiennie, niźli Mussolini, jest tem szczęśliwszy, im większy tłum go otacza, oraz im więcej przy sobie widzieć może stronników. Natura jego stwierdza, że nie urodził się na rewolucjonistę, prawdopodobnie raczej okoliczności życiowe nim go uczyniły. Wiedzie też skrajnie prosty tryb życia. Prawie nie ma żadnych rozrywek. Nie zna drobnych radości, które uprzyjemniają żywot. Raczej pracuje, niźli żyje, a lepiej umie pracować, aniżeli żyć. Jest zaciętym jaroszem; ani nie pije, ani nie pali, rzekłbyś, wiedzie tryb życia ascety.

Nie jest również tak wszechstronny, jak Mussolini. *Duce* np. oprócz zdolności, które obu znamionują, jest nadto publicystą, pisarzem i muzykiem. Poza szeregiem świetnych artykułów, zamieszczanych na łamach prasy światowej, ma w swym dorobku parę interesujących dramatów, a imał się nawet dzieł filozoficznych. Nadto, jak wogóle jego rodacy, kocha nadzwyczaj muzykę. Sam też gra świetnie na skrzypcach. W porównaniu z jego wszechstronną indywidualnością, osobowość Hitlera przedstawia się bardzo jednostronnie. Być może, iż w nim także drzemią podobne zdolności, ale nie mogły się dotychczas rozwinąć. Głównym jego płodem literackim — jest własny życiorys.

Interesujący jest wreszcie ich stosunek do katolicyzmu i to, co u obu jest ujemne, mianowicie: ich brak religijności. Ani Mussolini, ani Hitler nie są praktykującymi katolikami. Ale w tym negatywnym, wspólnym ich rysie zachodzi między nimi głębokie przeciwieństwo. Mussolini w swych moralnych i politycznych zasadach stoi na gruncie katolickiego światopoglądu. Ruch jego t. j. faszyzm nietylko nie jest antyreligijnym kierunkiem, ale ceni wysoko Kościół i poważa go, jako idealne urzeczywistnienie na ziemi zasady: autorytetu i hierarchji. Przecież Mussolini zawiesił krzyże w szkołach włoskich i zlikwidował zatarg Watykanu z Kwirynałem, zatarg, który jątrzył się przez lat dziesiątki, niby uporna do wygojenia rana. Jeżeli więc osobiście nie jest religijny, to jednak nie krzyżuje dróg Kościoła, lecz jeszcze użycza poparcia jego pracy, zarówno na terenie Włoch, jak świata. Hitler natomiast, choć wyznaje się chrześcijaninem, jednakże zasadami i działalnością swoją niejednokrotnie w jaskrawej staje z nim w sprzeczności (np. dzień 30 czerwca 1934 r.).

Jakkolwiekby wszakże było, koleje życia Mussoliniego i Hitlera dowodzą niezbicie, że energja ludzka zdoła nietylko przezwyciężyć opór złowrogich okoliczności, ale że zarazem potrafi wydźwignąć jednostkę z poniewierki na wyżyny przywódców narodu.

ZBIGNIEW ZAŁĘSKI

NORWIDJANA III

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ DRUGA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

(Ciąg dalszy)

5. DO TEOFILA [LENARTOWICZA]

[1857]

O broszurze *Polska i panslawizm*

(Do albomu)

Ze łzami w oczach czytałem to poczciwe (kobiece!) pisemko *Polska i panslawizm*, — ale niewarto pisać o tem, nie dla przedmiotu, — owszem, — tylko dlatego, iż niema dla kogo. Kto tego zapragnie? Komu to potrzebne? — Do albomu chyba dla jednej osoby, bo prawdy nikt w tej naszej rycerskiej piśmiennej Polsce nie ośmieli się wydrukować, dlatego, iż mu to w jego osobistych skłonnościach umysłowych wstrętnem cokolwiek być mogłoby.

I tak np. czemu to nie zaczęto artykułu onego od tych uwag:

„W latach bieżących pojawiła się książka po francusku *O sprawiedliwości i monarchji popularnej*, dalej książka generała Mierosławskiego, dalej książka X Y Z, dalej Obwieszczenie sekty p. Andrzeja Towiańskiego już poddaństwem formalno-politycznem Imperatorowi rosyjskiemu...” [1])

Nie panslawizmu to doktryna, tak powściągliwa i silna, ale ułatwianie najskrupulatniejsze gam i cieniowań od najlżejszego tonu cieniu aż do brudu, jest ona siłą, pod tytuł jakowy najwyraźniejszy ostatecznie podciągana. — I bielizna tak się na najczyściej utrzymywanych brudzi nieznacznie.

Pierwszy autor zaprzeczy tradycjom Rzptej Polskiej i emigrację po francusku zszarga (a zacny i genjalny człowiek!), drugi gminy organizm nad istotę narodu i kościelność onego wyniesie (a zacny patrjota, i zwycięski ochotnik, i niezłomny, cierpiący wygnanie trudne mąż!); — trzeci, to jest pan X Y Z, pomiesza pojęcie poświęcenia z pojęciem krewkości, a pracował na grubą książkę i pięknie też wydrukowana. — Czwarci pochylą się aż do butów Imperatora (a bohatery i prawie męczenniki!).

I dopiero to wtedy liczyć można na to, że odezwie się głos broszury *Panslawizm i Polska* na karcie 17:

„Żaden naród nie posiada tak jasnych pojęć o prawie międzynarodowem, o celu istnienia, o obowiązkach i...”

nie wiem jeszcze o czem!

Cóż z tego? —

Zaiste że, jak mówi autor czy autorka tej krytyki:

„Niepodległość Polski jest to...? Wolność n i e należenia do zbrodni międzynarodowych i n i e pomagania... n i e podnoszenia,... n i e podwajania,... n i e przeistaczania, n i e roztaczania,... n i e przyłożenia ręki... etc.” (patrz 17 karta broszury).

Słowem, wszystkie „n i e”... ale własnowolnie bezwładne! Bowiem gdyby z tej definicji negatywnej wyprowadziło się też kiedy na pole twierdzącego pojęcia wolności, zarazby ten sam krytyk czy krytykująca niewiasta przerazili się zuchwalstwem i kazali być cicho, czekając cierpliwie i święcie, aż poczwary urosną, które ich do wyjąkania zdecydowańszych myśli zmuszą. Tylko niestety, zawsze to będzie mikroskopiczny postęp po olbrzymiej porażce!

O, nie d w a są sposoby, jakiemi narody umierają, o których to sposobach dwóch mowa na k. 5:

„Dwa tylko rodzaje śmierci...” i t. d.

Jest jeszcze trzeci rodzaj śmierci, pierwszy od owych dwóch określonych tamże i daleko wyraźniej w cytowanem Piśmie Św. zapowiadany tak, że szczególnie dziwno, czemu katolicki krytyk pominął go?... Czemu?...

Za mord proroczego słowa, za grzech przeciwko duchowi dobremu giną społeczeństwa!... Za sprzedawanie prawdy środkom uzewnętrzniania jej... Za nieuszanowanie młodości pokoleń popisywanych w niekonsekwencje uprzedzeń własnych... Za herodyzm...

Na karcie 7 mówi krytyk:

„Ani dla jednostek, ani dla narodów nie istnieje nigdy konieczność czynienia źle”.

[1]) Ustęp ten zakreślił autor z boku, a poza zakreśleniem napisał: „Gamma”.

Ale jeżeli ludzie dojrzali, np. w 50 roku życia, mogą się jeszcze głośno o to spierać, owszem, nieświadomi są wszechsubtelności tego apoftegmatu, — c o t e ż p r z e z t o c z y n i s i ę d l a m a j ą c y c h p o d o n ą p o r ę l a t 10?... Czy (jak mówi krytyk) „społeczność polska, apostolizując przez lat ośmdziesiąt”, pomyśliła też o powyższych wątpliwościach?

Wśród takich umysłów niewolniczych każde zdobycie jednego atomu prawdy pociąga za sobą k o n i e c z n i e skandalu taki procent, iż ów atom zdobytej prawdy cudem ledwie zostaje prawdą, j e ż e l i n i ą z o s t a j e!...

Piszę to dla siebie i dla Ciebie może, bo zresztą widzisz, jak dalece miedzią brząkającą są krytycy, jeżeli nie śmieliby tego głośno wnieść — niewolniki!...

Pisałem 1857.

Cypr. Norwid

U w a g a w y d a w c y: Autograf w Bibl. Krasińskich, rkp. nr. 5148. — Uwagi Norwida wywołane zostały artykułem anonimowym (ks. J. Koźmiana?) p. t. *Panslawizm i Polska*, ogłoszonym w *Przeglądzie Poznańskim* 1857 (t. XXIV) s. 29 i n., oraz w odbitce. (Przedruk znacznej części w *Wiad. Pol.* t. r.). Artykuł jest polemiczny i zwraca się przeciwko panslawistycznym tendencjom w książce X.Y.Z. [Henryka Kamieńskiego]. *Rossya i Europa, Polska* (Paryż, 1857). Z niego pochodzą zacytowane przez Norwida ustępy. W napomkniętym tutaj ustępie o dwóch rodzajach śmierci mówi się, że albo naród przechowuje swą myśl żywotną i wtedy żyje nawet w niewoli, a dla zniszczenia go trzebaby wymordować wszystkich jego członków, do ostatniego dziecka, albo też znikczemniał sam w sobie, „żywotną myśl swoją zamienia na pieniądz, a wtedy zamarł sam w sobie”. — Wspomniane na początku dzieła to: *De la justice et la monarchie populaire*, I partie: *La guerre d'Orient*, par Le Comte R.[oger] R-[aczyński]. Paris, Lévy, 1858; dalej L. Mierosławskiego *De la nationalité polonaise dans l'équilibre européenne* (Paris, Chamerot, 1856), wreszcie pismo A. Towiańskiego (z podpisem K. Różyckiego) *Powody, dla których amnestja przyjętą być nie może*, ogłoszone po polsku i po francusku w Paryżu 1857 r. (zob. je w *Pismach* A. Towiańskiego, III, 8 — 23).

6. DO TEOFILA LENARTOWICZA

Paryż 1859
Bellefond 38.

Kochany Teofilu [1])

W tem, co dziś zowie się b r o s z u r ą, określając, jak się określa na mapie militarnej szpilkami marsz i noclegi i stanowiska, — określiłem rzecz sztuki wobec wiedzy, praw natury, życia i religji. Żaden estetyk, mianowicie w prawach natury i obyczaju socjalnym, nigdy tego tak nie tłomaczył, i dlatego nie dziwi mię, iż to, co dlatego zwą o b j a w i e n i e m, jest ci nowe.

Samotność moja wielka jest zaprawdę z tej prostej przyczyny, iż ci wszyscy w ojczystem społeczeństwie, którzy czynią niesamotności własne i cudze, są mi znani oddawna, a w większej części są to moi dawni p r z y j a c i e l e albo zwolennicy! Stąd też samotność zaprawdę, że jest wielka.

Mniemam, i kiedy był u mnie parę miesięcy temu Zygmunt Krasiński, mówiłem mu iż mnie-

[1]) Na czele listu wypisał sobie Norwid zgóry punkty, na które ma odpowiedzieć:

„Nie umiem ocenić kwestji o sztuce — twoja samotność — zdrowie moje — czemu my tak daleko i czemu lipy ojczyste nie nad nami — *Stefan Czarniecki* Koźmiana dedykowany Z. K. — panuje nad fantazją swoją. — Cóż ja ci więcej napiszę? — Panusiewicz zerwał korespondencję”.

mam, że każdy, kto serjo kilkanaście kroków w życie polskie postawi, znajdzie się w takiej samej samotności. I kiedy wyrzucał mi, iż „kochano cię, wszyscy kochali cię wielką miłością, a ty to wszystko odsunąłeś”, — powiedziałem mu: — Nieprawda!... Nie wiesz, albo zapominasz w tej chwili, co jest miłość i przyjaźń. — Nieprawda!... Żyłem innem życiem, życiem, które wywoływa te oznaki, i tak żyć może ośmnastoletni chłopiec, i nazywa się to być miłym chłopcem.

I dodałem mu: — Jutro, jeśli chcesz, to ci potrafię taką sztukę; jutro toż samo zagram i wywołam, ale widzisz: kiedy się jest miłym chłopcem, to to wolno, — kiedy zaś człowiek tak żyje, to on już nie jest miły chłopiec, ale płaski człowiek! To nie jest miłość, — bo miłość nie jest echo: — ja skończę wołać, echo zamilknie...

I mówię ci, że byłem o kilkanaście tysięcy mil stąd, napoleona jednego w kieszeni mając, i nikt nie napisał do mnie słowa, okrom szewca pewnego, który przed emigracją służył kiedyś pod ojcem moim, i dowiedziawszy się, że odpływam od brzegów Anglji i Europy, przyszedł we fraku czarnym pożegnać mię. Czy ja byłbym tak jak jestem w każdej osobie mojej, czy to człowieka, czy pisarza czy sztukmistrza, żeby mię kto kochał? — Nieprawda!

To mówiłem Zygmuntowi, kiedy żegnaliśmy się, i nie wiem, kiedy się zobaczymy. On jest w Paryżu.

O zdrowiu twem piszesz mi ogólnik, z którego mało wiedzieć mogę.

Lipy ojczyste nie nad nami, albowiem roku zeszłego siostra moja sprzedała wioskę i pół, to jest Głuchy i Wszebory, gdzie rodziłem się; a tam była jedna lipa. Sprzedała Deskurowi, bratu tego, co na Syberji był, i w izbie wielkiej, niebieskiej, gdzie na świat wyjrzałem, młode małżeństwo dziś mieszka. A Dembinki, gdzie było lip paręset, oddawna czyjeś.

Stefan Czarniecki w pewnej części pisany przy mnie; Kasztelan rano wstając, codzień zimną wodą obmywszy ciało, pisał 40 wierszy, które czasem widziałem u niego na stole. Jedna pieśń w rękopismie była mnie dedykowana, a teraz cały poemat Zygmuntowi... Tak bywa często. Nie panował Kasztelan nad fantazją, bo jej nie miał; był to największy czasu swego rymotwórca.

Historji literatury jeszcze niema żadnej, ani okładek do niej w Polsce, i dlatego o tem serjo nie warto mówić, co jest poeta?... Wedle moich pojęć wyłączam z rzeczy poetycznej tych, co są poetami tak jak są ludzie, którzy tylko w niedzielę bieliznę czystą noszą. Ja mam o tem pojęcia inne, bardzo wielu przeciwne. Jak zapytasz i zechcesz, to ci o tem stanowczo napiszę.

Pytasz nareszcie: cóż ja ci więcej napiszę? Albowiem nie wiedziałeś, czy pisać do mnie, czy do korespondenta z miejsca tego. Pisz do nas obydwóch. Ja ci tak piszę i jako ja, i jako korespondent stąd; masz treści różne, które mogą cię obchodzić.

Byłem chory na oczy i bywam, bo nadużyte są; musiałem jeździć do Śródziemnego morza, do Cette na południe. Zwiedziłem, co grecko-rzymskiego na południu; wypełniłem obowiązek braterski, prowadząc do ślubu brata mego Ludwika. Żona jego po matce jest wnuczką gubernatora Jamajki; miła osoba i ładna, — niestety (bo to zawsze bywa niestety) bogata. Za powrotem zdążyłem widzieć się z Kraszewskim, który (podczas nieobecności mojej wedle polecenia, jakie w domu dałem) przesiedział u mnie dwie godziny, przeglądając studja i kartony moje; potem pisał do mnie na południe i zdążyłem widzieć się z nim.

Panusiewicz żeni się, w przyszły poniedziałek świadkiem mu być mam. Wątpię, aby zerwał korespondencję z tobą; tylko może być, że czynnemu człowiekowi pisywałeś biernie — i urwało się, nie zaś on zerwał.

Pisał mi brat Ksawery, że w Warszawie zbiera moje pisma, od lat kilkunastu we wszystkich pismach krajowych będące, i że tego tomy zebrać można. Odpisałem mu, że nie dziękuję mu za to, albowiem to powinno było być już zrobione przez osoby mniej bliskie i nie prywatną drogą. A szwank czyni sobie, rzeczy, prawdzie, ktokolwiek czyni co prywatnemi drogi, jeśli to powinno było publicznemi robić się!

Bądź szczerze zdrów.

Cyprjan Norwid

[P. S.] Mówisz: „rycinę”. Raz w życiu widziałem rycinę, która zwróciła oko twoje, a była arcydziełem. Dałeś ją pannie Dziekońskiej. Jestto głowa Zbawiciela Michała Anioła. Gdybyś tę znalazł i wystrzygłszy przysłał mi w liście, byłby to mały ciężar — ostrzygłszy biały papier — ale zapomnisz!

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Krasińskich, rkp. nr. 5148. — Odpowiedź na (nieznany) list Lenartowicza, w którym on m. in. dziękował za otrzymaną broszurę Norwida, *O sztuce (Dla Polaków)*. Paryż, 1858. Zatem zapewne z początku roku 1859. — O folwarku Laskowo-Głuchy i Wszebory zob. w uwadze do listu następnego; Dębinki, wieś w pow. radzymińskim, własność Ksaw. Dybowskiego, drugiego męża babki poety.

7. DO TEOFILA LENARTOWICZA

[Paryż, styczeń—luty 1860]

Pisze mi Major Zaleski, że raczysz użalać się, iż nie piszę do ciebie; zwykle przez trzecie osoby to mię dolata. Tobie więc czy jemu mam odpisać? Alboż nie wiesz, co kosztuje zachodów i trudu te parę tysięcy franków, które rocznie wydawać muszę?

Już dość dawno, jak w Wólce, gdzie w ogrodzie bawiłem się w wojsko z Jordanami i Kleczkowskim Michałem, wszystko się odmieniło. Dziad ociemniał jak Edyp, a ci, co w ogrodzie bawili się, gdzie są? — Jeden w Chinach, drugi w Ameryce, Jordan w Turcji, a drugi Jordan w cytadeli zabity, — a wsie pana Jana Sobieskiego posiada żyd, który się nazywa Imbryczek. Piszę ci tu najmartwiej ścisłe fakta, a powiedz, czy *Odysseja* nie jest bladą przy tem? Głuchy i Wszebory i Niegów posiada krawiec Dziekciński. Powiedz też co o tych nazwiskach i kolejach, — czy nie Zabłocki to wymyślił, nudząc się w limbach z Cerwantesem na pogadance?

Cóż więcej donieść każesz? P. Brygida Wysz. poszła zamąż za zacnego człowieka, biednego

urzędnika bardzo niskiej rangi i pensji, ale dzielącego się z bratem i nie używającego protekcji do podwyższeń. Wychowana w pałacyku i ogrodach, osobne panieńskie służące mając, — potem lekcje dając w Warszawie po parę złotych.

Rzeczy, którą załączam dla ciebie i Tomaszewicza, historja jest taka, iż ś. p. pułkownik Linowski wspominał przed śmiercią o pewnej rozmowie, którą z nim miałem był, i chciał, aby com mówił na jego grobie było zapisane; — dopamiętać się nie mogłem, co mówiłem w onej rozmowie, ale z treści zatrzymanych uwiła się ta legenda, której dla przyjaciół odbito szczupłą, prywatną liczbę egzemplarzy, i dla tego gdyby ci twój egzemplarz był zbytni, daj go komu, ktoby zatrzymać i nie zniszczyć go podobał sobie. Tomaszewiczowi drugi oddać racz i powiedz mu, że nareszcie — nareszcie mamy już wyszłe z druku tłomaczenie *Komedji Boskiej* przez Jul. Korsaka; język musi być dobry, a jak tłomaczenie jest, nie wiem. Ułamek, który Tomaszewicz tłomaczył wierszem rymowym, jest arcydoskonały, a to, co z Byrona tłomaczył, to jest arcydzieło wierności; a jednak jednej tam rzeczy niema: to jest Byrońskiego gestu! W Rzymie słonecznym i cichym któż ten gest powtórzyć zdoła? Trzeba na morzu, lub tu w gwarze.

Oto znowu Konsul wielki, który błogosławił mi opuszczając emigrację, — Jan Skrzynecki — umarł. Dzięki Bogu, że choć blisko królów i starych naszych jak należało się, pogrzebion!...

Jeśli podoba się Bogu przedłużyć mi to życie tu, zmarnowane przez wszystko i wszystkich oprócz mnie, — tedy będę ku Rzymowi kwapił się, mimo iż nikt nigdy ręki mi pomocnej nie podał i nie poda może. Ale co powietrza wciągnąłem w płuca z brzegów Terre-neuve, które są na wysokości globowej Cimborasso, a przeto świeżem darzą tchnieniem, — to już wydałem prawie w Paryżu i resztkami gonię; więc (jeżeli mam żyć) trzeba mi będzie południa lub wschodu.

Musiałeś wiedzieć, że miałem tu Michała na parę dni z Chin, bo iż ekspedycję przez jakiś czas sam. przygotowywał, więc Ojciec Ś. raczył mu łaskawie kommandorat wielkiego orderu swego przysłać. Jedno mię w tej karjerze — lubo krewnego — cieszy, iż wierny jest przy misjach chrześcijańskich, — zresztą fraszki konieczne tego świata.

Trentowski kurs swój miewa. Postępu się znikąd u nas nie spodziewam, ale wciąż potrzeba, aby silny i doświadczony człowiek powtarzał głośno rzeczy, których wiedzieć i czytać każdy się leni.

Ściskam cię.

Cyprjan Norwid

Paryż, 1860

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Krasińskich, rkp. nr. 5148. — Datę, podaną ogólnie, można oznaczyć trochę ściślej. Skrzynecki zmarł w Krakowie d. 12 stycz. 1860, pochowany na cmentarzu krakowskim. Trentowski miewał w Paryżu publiczne wykłady (m. in. o estetyce) w zimie 1859—60, w kwietniu 1860 r. był już z powrotem we Fryburgu. List zatem najpewniej z drugiej połowy stycznia lub z lutego. Norwid wspomina tu Jana Sobieskiego (ur. 1770), rejenta pow. stanisławowskiego, swego opiekuna. Niejasne jest wspomnienie „dziada" ociemniałego. Tak zwykł był Norwid nazywać brata babki, Michała Sobieskiego, pułkownika i radcę stanu w Heroldji; ale ten zmarł był już w r. 1847. Mowa tu zatem albo o którymś z jego braci, Janie czy Ignacym; Ksawery Dybowski, drugi mąż babki zmarł 1842 r. — Michał to Kleczkowski (ur. 1818) syn Juljanny z Sobieskich, siostry babki poety (zob. „*Kur. Warsz.*" 1934 nr. 255 w art. A. Czartkowskiego). Laskowo-Głuchy, Wszebory, Niegów, to wsie i folwarki pow. radzymińskiego, stanowiły własność matki poety lub jej krewnych. Wspomniana tu dalej „rzecz" to *Garstka piasku*, legenda, dedykowana ś. p. Konst. Linowskiego, pułkownika (zm. 1858). Wydał ją Norwid osobno w Paryżu 1859 r. — Tomaszewicz zapewne Walerjan (1819 — 1861), tłumacz Schillera i in., — wskutek choroby oczu bawił zagranicą i zmarł w Paryżu.

KASZTANY

Bronzowe wrześniowe,
Pociski gradowe,
Spadacie na głowę
Nowe, gładkie, zdrowe,
Twarde i surowe
Kasztany, kasztany!

Świeże, ślizkie, lśniące,
Błyszczące, świecące,
Jesienią pachnące,
Z drzewa strzelające
I bombardujące,
Kasztany, kasztany!

Z zamszowej kolebki
Wychylacie łebki,
Każdy rudy, gniady
Jakby z czekolady,
Gładko ulizany,
Upomadowany,
Na twarzyczce śniadej
Biało pudrowany,
Kasztany, kasztany!

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Apel do narodu w imię kryzysu.— A więc konspiracja czy współdziałanie powszechne? — Kwestja pierwsza: kryzys moralny. — Należałoby odrestaurować odwagę cywilną. — O tem, jaka atmosfera sprzyja kwitnieniu społeczeństwa. — O potomstwie bojaźni—oślicy i konia robiącego karjerę.

SŁYSZELIŚMY wygłoszone przez radjo przemówienie p. wicepremjera E. Kwiatkowskiego, a w niem — wyznanie wiary jego w naród, w jego żywotność, patrjotyzm i dobrą wolę współdziałania z państwem. Wierzyć się uszom nie chciało — była mowa o narodzie, i to w pochlebnych wyrazach. Nie tak dawno słyszało się o narodzie inaczej i o tem, że państwo doskonale sobie poradzi z całością zagadnień bez pomocy narodu. Nie tylko tak się mówiło, nietylko tak postępowało w praktyce, ale i tak się kodyfikowało. Ostatnim wyrazem tego kursu była akcja przeciwko samorządom i parlamentowi. Wszystko, coby jako wola i kierunek pochodziło ze społeczeństwa, nazwano partyjnictwem. Nieme izby ustawodawcze potrzebne są tylko dla dekoracji. Bo gdy zasadzie „partyjnictwa" przeciwstawia się jednomyślność, to wola kierownicza ma w Sejmie oczywiście wszystkie warunki samostarczalności, a nawet „naród" staje się pojęciem partyjnem.

Trzeba mieć istotnie talent robienia wszystkiego naopak, żeby się tak dokładnie nabić w ślepą uliczkę. Odwracając się tyłem do społeczeństwa i zasłaniając parawanem parlamentaryzmu, powiedziano sobie, że najwyższą mądrością stanu jest konspiracja. Miała ta metoda zwiększyć powagę stanu, ale przesada doprowadziła do rezultatu odwrotnego. Można tak dobrze coś schować, że potem samemu się tego nie znajdzie, w najlepszym razie racja stanu stała się własnością konspirującego kółka. Błąd był widoczny dla każdego umysłu kulturalnego, bo przecież zmysł t. zw. stanu jest sprawą pochodną instynktu narodowego. Gdy się ten kontakt z narodem na dłuższy czas przetnie, wtedy konspiracja staje się martwotą. I to po obu stronach.

Najdobitniej ujawniło się to w dziedzinie gospodarczej. Przyznał to w całej pełni i bardzo dosadnie p. minister skarbu Kwiatkowski. Kryzysu nie dało się zakonspirować, ani impasu państwa. Trzeba się zwrócić do sił psychicznych i moralnych społeczeństwa. Ludzie świadomi rzeczy wzięli ten apel do serca, ale nie daliby dowodu, że biorą tę rzecz na serjo, gdyby w odpowiedzi zaniedbali powiedzenia prawdy.

Oprócz gospodarczego istnieje kryzys moralny. A ten spowodowany został eksperymentami odcinania państwa od życia narodu, tą właśnie fałszywą grą ze społeczeństwem. Praktyka i system wychowania w ostatnim lat szeregu sprawiły wielkie spustoszenia w psychice społeczeństwa. Robiło się przecież wszystko i to z wielkim naciskiem, aby naród przybrał postawę wobec spraw publicznych odwrotną do tej, którą teraz zaleca p. minister Kwiatkowski.

Żeby nie być gołosłownym, przytoczę przykład, który w tej dyskusji podsuwa nie jakiś znienawidzony „narodowiec", lecz bojownik „sanacji" p. Mackiewicz, redaktor „Słowa" wileńskiego. Także wymowny jest tytuł jego artykułu naczelnego w nr. 283: „Restaurujmy odwagę cywilną"! Zaczyna się zaś artykuł od bardzo mądrych słów: „Inne są cnoty niewolnika, chcącego zdobyć wolność, inne obywatela wolnego państwa".

Otóż gdy słyszymy apel do cnót obywatela, które trzeba uruchomić w imię dobra narodu, to trzeba się rozejrzeć, co się z temi cnotami stało i czy nie trzeba zacząć od kryzysu, który w tej dziedzinie nastąpił. Kryzys moralny, w stosunkach życia publicznego uderza przedewszystkiem w najczulszą strunę duszy obywatela—w jego odwagę cywilną. Na tem polega właśnie wolność, żeby w życiu było miejsce na tę odwagę w znaczeniu „cywilnem", to znaczy, żeby mógł wypowiedzieć otwarcie to, co uważa za prawdę, bez ściągania na siebie represji. Od kwalifikacji, zwanej odwagą cywilną, nie trzeba wymagać wielkich rzeczy, trzeba ją rozumieć jako cnotę, obracającą się w granicach legalności i bezpieczeństwa osobistego. Czem innem jest bowiem odwaga, rzucająca człowieka w walkę, wymagająca cnoty bohaterstwa czy męczeństwa. Mówimy o normalnej zalecie człowieka „porządnego", z charakterem, któremu zależy na tem, aby prawda nie leżała pod korcem, który ceniąc swą godność, nie chce być używany do jej ukrywania. Cóż się w społeczeństwie naszem z tą elementarną cnotą stało?

O tem, co jest odwagą cywilną, w jakich warunkach staje się ona cnotą obywatela, jak wielkiej wagi jest znaczenie jej w życiu publicznem, wykształceni Polacy wiedzą choćby z popularnej rozprawy Karola Libelta (1843). Pomimo, że nie ma w sobie znamion bohaterstwa, jest ona jednak cnotą, wymaga bowiem przezwyciężenia pewnego lenistwa, wymaga bowiem—czynnej postawy charakteru. Bądź co bądź przemóc trzeba w sobie skłonność do świętej zgody i spokoju. Nieprzyjemnie jest różnić się z kimś i narażać na szwank słodką harmonję towarzyską. Otóż tam, gdzie dla odwagi cywilnej niema warunków zewnętrznych, zaczyna się bardzo szybko psuć jej podstawa w charakterze. Ludzie ograniczeni w tej elementarnej wolności z zewnątrz, wpadają w stan moralny niewolników, unicestwiają się w godności swojej i w charakterze, niema już mowy o warunkach wewnętrznych odwagi cywilnej. Człowiek bez charakteru—jak ktoś powiedział— jest już przedmiotem, nie człowiekiem. Jest to więc najgłębsze zniweczenie człowieczeństwa, jakiego można dokonać przy nieumiejętnem obchodzeniu się ze społeczeństwem.

Według tego, co powiedziałem, łatwo się zorjentować w doniosłości zagadnienia, w jego obosieczności zarówno w stosunku do państwa, opierającego swój żywot na psychice narodu, jak i dla kultury człowieka, zjadającego się własną nikczemnością. Bywają w dziejach kultury momenty dysproporcji w szacowaniu dwu rodzajów odwagi — cywilnej i wojskowej. Druga jest otaczana chwałą, pierwsza zaś jednocześnie bywa traktowana jak zbrodnia i pociąga za sobą srogie represje, a nawet przez obywateli bywa uważana za niepożądany dysonans i krzywdę, sprawie publicznej zrządzaną. Tymczasem jest rzeczą oczywistą, że odwaga wojskowa prawdziwie wartościowa wyrasta na dobrze uprawionej glebie charakteru obywatelskiego. Odwaga wojskowa ma przytem bezpośrednie pomoce koło siebie: w surmach bojowych, w tłumnej psychice mas, w odznaczeniach, w komendzie dowództwa. W życiu cywilnem czło-

wiek zostawiony jest swemu wnętrzu; życie wogóle wymaga stałej, codziennej, szarej, nienagradzanej odwagi. Czasy pokoju są dłuższe, niż wojny, stan pokoju jest przecież stanem ciągłej walki cywilnej i czujności, jest to właśnie ten stan normalny, przeznaczony dla rozwoju zdrowia narodu. Odwaga cywilna powinna być przedmiotem wielkiej troskliwości hodowlanej wychowania publicznego.

Proszę sobie wyobrazić w tem świetle nasze dziecko w szkole, wystawione na próbę odwagi cywilnej, gdyby zechciało za popędem szlachetności swojej powiedzieć prawdę. A przecież ciągle — według najnowszych metod wychowania państwowego — jest wzywane do wygłaszania poglądów na sprawy publiczne. Pociągnęłoby to za sobą nieobliczalne skutki dla niego, dla rodziców, dla nauczyciela, dla szkoły. Rodzina dobrze pracować musi nad dzieckiem, aby je wytresować na poprawność polityczną. Skądże dziecko! Niechże wystąpi z prawdą poseł, mający zastrzeżoną nietykalność: przypatrzmy się obecnemu Sejmowi, czy kto usta otworzy. A cóż ma robić ze swoją odwagą cywilną publicysta, gdy wie, że mu każdy „piorun” (ob. Słowacki) p. cenzor schwyta gołą ręką — i pozostanie tylko biała plama. Odwaga cywilna nie ma dla siebie społecznej pomocy, owszem zewsząd jest gnana.

Co w postępowaniu jednostki charakter, to w politycznem — program. Charakter trzeba określać jako pewnego rodzaju zautymatyzowaną zasadniczość bycia moralnego. Automat taki jest niezbędny, aby człowiek nie deliberował w wyborze dróg, na każdym bowiem kroku staje człowiek wobec trójdroża: co łatwo, czegoby się osobiście chciało, co się powinno zrobić. Tęgi charakter wali tą trzecią drogą — zwłaszcza w sprawach publicznych. Gdy zaś zamiast pomocy okazanej charakterowi premjuje się jego słabość, uległość, karjerowiczowstwo, służastwo, nawet nikczemność, a wszelką kostropatość piętnuje, to oczywiście braknie odwagi cywilnej, aby mówić i robić to, co się robić **powinno**. Wtedy nastaje moda na filozofowanie, wyklinające t. zw. „partyjnictwo”. O cóż chodzi: o to, aby z postępowania publicznego usunąć czynnik zasad i programu. Walka z programowością polityczną obywateli i z ich usiłowaniem organizowania życia publicznego w myśl zasad jest najwyższą klasą tej szkoły, która niszczyć ma charakter cywilizacji narodowej.

Inną wartość przedstawia obywatel, zdobiony krzyżem *virtuti civili*, inną zupełnie obywatel dumny z usłużności i z bojaźni publicznej. Libelt, mający zresztą do czynienia ze społeczeństwem bezpaństwowem, sprowadzał sprawę odwagi cywilnej na grunt raczej towarzyski i wywodził nawet nikczemność obywatelską ze zbytniej „grzeczności”. Przytoczę choćby jedno jego zdanie o kalectwie, jakiem jest brak odwagi cywilnej:

„Grzeczność, jak bojaźń i ambicja, psuje charakter narodowy, odbiera mu sprężystość i farbę. Żółknie on i wyblaka, jak liść jesienny i nazawsze jego zieleń wiosenna zatracona. Liść taki prędzej czy później z dębu narodowego odpadnie, wiatr go zmiecie i zimy nie przetrzyma. Odwaga już go nie zrumieni, ani nie odmłodzi. Ludzie w polityce grzeczni, są jak muły, z bojaźni oślicy i z konia ambicji spłodzeni, do rozplenienia żywota narodowego nie przydatni; są to rzezańcy polityczni, którym dobrze seraj sułtański powierzyć, ale nie sprawę publiczną”...

Los muła i niewolnika nie uśmiecha się już nawet sanatorom takim, jak p. Mackiewicz z Wilna. Ma on dosyć odwagi cywilnej, aby o niej głośno pomyśleć, wykazywał ją nieraz, głosząc z tupetem rzeczy, któremi się narażał ludziom myślącym; jak on wybrnie z zatargu wewnętrznego między swojem sanatorstwem, odbierającem głos obywatelowi, a postulatem „restaurowania odwagi cywilnej” obywatela, to już jego rzecz. To pewna — trzeba przywrócić życie odwadze cywilnej, a to będzie jednoznaczne z przywróceniem mieszkańcowi kraju — rangi obywatela.

Czy orędzie obecnego prezydjum rządu tę reformę zapowiada? A tędy wypada droga do narodu, który ma zwalczyć kryzys. Potrzeba na to znacznego zasobu odwagi cywilnej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

W CIĄGU TYGODNIA SWEGO ISTNIENIA rząd p. Kościałkowskiego **trzykrotnie** oświadczył swą miłość dla młodszych generacyj. Nasamprzód w deklaracji rządu p. premjer „widzi konieczność zapewnienia szerszych możliwości w otwarciu nowych dróg **pracy dla młodego pokolenia**”. W niedzielę zaś z okazji inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Poznańskim p. premjer Kościałkowski powiedział, że „musimy (t.j. piłsudczycy-legjoniści i młode pokolenie — Przyp. nasz) coraz częściej w jednym kroczyć szeregu, zastępując odchodzących młodymi”. Wreszcie min. spraw wewn. p. Raczkiewicz wydał okólnik do wojewodów, „polecając szczególne zwrócenie uwagi na przedstawicieli młodego pokolenia, wstępujących do służby państwowej, lub już pracujących w urzędach”.

Uderzająca jest troska o „pracę”, o „służbę i urzędy” dla młodego pokolenia, ściślej dla jego „przedstawicieli”. Mówi się więc tylko o „czapce, papce i soli“. Nie mówi się nic natomiast o sprawach niematerjalnych, które interesują młodzież. Młode pokolenie najchętniej wysłuchałoby np. jak rząd zamierza rozwiązać **sprawę żydowską**. Nawiasem mówiąc, w powodzi oświadczeń nowego rządu nie wspomniano dotąd nic o żydach. Młode pokolenie z ciekawością posłuchałoby też o losie i przyszłości swych kolegów z Berezy Kartuskiej, więzień i aresztów.

Przecież dziesięć lat rządów „sanacji” upłynęło w walce z młodem pokoleniem na temat dóbr moralnych (stosunek do sprawy żydowskiej, walka o autonomję, sprawa Obozu Wielkiej Polski).

Jak widzimy, pomysły, mimo zapowiedzianej „zmiany kursu”, pozostały stare. Kiedyś mówiono poprostu o stypendjach i posadach, dzisiaj wabi się mirażami „odmłodzenia biurokracji”.

Chodzi o dobra niematerjalne, a nie o „czapkę, papkę i sól”... Politowania godni są ci „sanatorzy” w roli wychowawców...

Gdy obserwujemy wydarzenia dni ostatnich, dochodzimy do wniosku, że się znowuż nie tak wszystko pułkownikowi Sławkowi ułożyło, jak sobie kiedyś wyobrażał. Weźmy np. mały przykład z obecnie zwołanemi izbami ustawodawczemi (o ile je wobec instytucji dekretów tak nazwać można). Miały one niczem nie przypominać dawnego partyjnego sejmu i senatu, mieli się posłowie rozlokować według regjonów, z których pochodzą, a tu tymczasem chodzą słuchy, iż tworzy się już, wewnątrz przykładnie na pozór jednomyślnego zespołu, grupy o wyraźnym posmaku dawnych stronnictw. Jeszcze to wprawdzie wszystko niewyraźne, bo i wiadomo—miejsc w sejmie jest po dawnemu 444 a posłów o połowę mniej i każdy na dwóch stołkach siedzi, wietrząc w wytwarzających się wciąż sytuacjach, skąd właśnie idzie podmuch...

Najwyraźniej do tej pory postąpili jedynie żydzi. Nie reprezentują oni regjonu nalewkowskiego, lub, jakby chciał styl urzędowy „północnej dzielnicy Warszawy", ale utworzyli pewnie i z charakterystycznym tupetem grupę żydowską. W skład jej wchodzą: Izaak Rubinstein, Emil Sommerstein oraz Mojżesz Schorr, senator, ten, którego komunikat, zawiadamiający o ukonstytuowaniu się senatu, zaliczył do przedstawicieli „...duchowieństwa". Koło żydowskie, składające się z trzech powyższych postaci, zdążyło już wydać odezwę, z którą warto się zapoznać. A więc początek:

Żydzi.
„W dniu dzisiejszym utworzyliśmy na terenie Sejmu i Senatu R.P. Żydowskie Koło Parlamentarne, jako reprezentację narodową, która prowadząc jak dotychczas niezależną politykę żydowską, stać będzie na straży naszych praw, będzie wykładnikiem naszych krzywd i upośledzeń, wyrażać będzie nasze potrzeby i postulaty".

I zaraz, z miejsca pretensja:

„Nowa ordynacja wyborcza uniemożliwiła nawet w okręgach niewątpliwie żydowskich należne zastępstwo trzech i pół miljonowej ludności żydowskiej w ciałach ustawodawczych.
To też ciężar włożony na nas, jako Waszych reprezentantów jest olbrzymi, przechodzi siły kilku jednostek i odpowiedzialność nasza tem większa, im smutniejsza jest dola żydostwa".

Poczem następuje zwięzła, ale dosadna deklaracja:

„Biorąc od lat dziesiątka bezpośredni czynny udział w wielkiem dziele narodowego odrodzenia, stać będziemy wiernie i niezachwianie przy naszym sztandarze narodowym, walczyć będziemy o zabezpieczenie należnych nam praw do pełnego rozwoju kulturalnego i samodzielnego życia religijnego. Dążyć będziemy do pełnego zrealizowania przewodniego hasła, wyrażonego uroczyście w ustawie konstytucyjnej, że Państwo jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli. Domagać się będziemy dla ludności żydowskiej, która spełnia ofiarnie wszystkie obowiązki obywatelskie, nie tylko ustawowego, ale i faktycznego równouprawnienia".

Jest tu parę słów słabej pociechy dla b. premjera Sławka w zacytowaniu podstawowej tezie jego ukochanego dzieła, nowej konstytucji...

Przedewszystkiem i oczywiście sprawy gospodarcze:

„Jak najbaczniejszą uwagę poświęcimy katastrofalnemu położeniu gospodarczemu ludności żydowskiej".

Poczem sprecyzowanie tych słów:

„Przeciwstawiać się będziemy ciągłemu planownemu wypieraniu żydów z ich placówek i warsztatów pracy, domagać się będziemy dla ludności żydowskiej prawa do pracy we wszystkich dziedzinach, także na stanowiskach pracowników w służbie państwowej i samorządowej, niemniej w przedsiębiorstwach państwowych i samorządowych".

Tu trzeba zaznaczyć, że temperament poniósł całą trójkę zbyt daleko i... niebezpiecznie. Domaganie się przyjmowania żydów do służby państwowej i samorządowej tudzież do przedsiębiorstw państwowych i samorządowych może przeciwstawić im nawet i tę warstwę, która do tej pory z powodów oportunistycznych siedziała cicho, krótko mówiąc — biurokrację. A rozgoryczenie tej warstwy może być, — użyjmy języka handlowego „kiepskim interesem"...

Posłuchajmy, co dalej:

„W pracy ściśle ustawodawczej dążyć będziemy do zmiany tych wszystkich ustaw i rozporządzeń, które poza warunkami ogólnemi, wynikającemi z przesilenia gospodarczego, potęgują i przyśpieszają pauperyzację i deklasację ludności żydowskiej".

Oczywiście jest i wysuwanie znanego straszaka:

„Będziemy wskazywali na to, że ruina trzech i pół miljonowej rzeszy obywateli-żydów podważyć musi podstawy gospodarstwa społecznego w Państwie".

Nikt już tego nie uważa za groźne...

Wreszcie zakończenie. Wsłuchajmy się w jego ton:

„Żydzi. Nie cofniemy się przed żadnemi trudnościami w walce o naszą godność i nasze prawa, o byt gospodarczy ludności żydowskiej, Waszej obronie poświęcimy z najlepszą wolą wszystkie nasze siły, nasze doświadczenie, naszą wiedzę, całą naszą energję.
Od Was żądamy, byście ponad waśnie i spory, ponad rozłam i rozbicie, skupili się pod sztandarem godności narodowej i obrony naszych praw, nie poddawali się rozpaczy i rezygnacji, lecz czynnie z nami współdziałali dla spełnienia naszego tak ciężkiego i tak odpowiedzialnego zadania".

Uderzyć musi jedno. Oto w odezwie, którą w całości przytoczyliśmy, niema ani jednej myśli, ani jednego zdania, coby mówiło o dobru, wielkości oraz interesie Państwa, które zezwala na ogłaszanie tego rodzaju odezw. Niema ani jednego słowa serdeczniejszego, niema nawet zachowanej ani szczypty taktu. Pod tym względem jest wprost rozbrajająca (może raczej „uzbrajająca" nas!) szczerość.

Zwracamy na to uwagę tym, którzy łudzą się dotąd, że czteromiljonowego polipa można w Polsce „państwowo" wychować. Czas przetrzeć oczy!

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Znany krytyk teatralny, Jan Lorentowicz, wydał obecnie (w Warszawie u F. Hoesicka) w dwu tomach dzieło p.t. „Współczesny teatr polski". (Tom I str. 377, tom II str. 432). Jest to właściwie podtytuł dzieła obszerniejszego, o którego pierwszych trzech tomach pisaliśmy w r. ub. Dzieło to wraz z temi nowemi tomami obejmuje obecnie 5 tomów i nosi ogólny tytuł „Dwadzieścia lat teatru".

Jest to zbiór recenzyj teatralnych Lorentowicza z lat 1904 — 1932, z przerwą lat kilku, kiedy recenzyj nie pisał, będąc dyrektorem teatrów. Polskiej twórczości dramatycznej poświęcone są tomy I, IV, V. Tomy II i III — to referaty z premjer sztuk obcych.

Jeśli chodzi o polską twórczość oryginalną, to w owych trzech tomach, jej poświęconych, zdobywamy bogaty materjał do jej dziejów. W tych trzech tomach obejmujących polskie

premjery, znajdujemy ocenę 231 sztuk, napisanych przez 63 autorów. W tej liczbie żyjących pisarzy jest 28.

Ze wszystkich dziedzin sztuki, uprawianej w Warszawie, chyba teatr jest najlepiej jest obsługiwany. Dosyć przytoczyć dwa wielkie wydawnictwa Lorentowicza i Boya-Żeleńskiego. Okres najnowszy został w recenzjach tych dwu krytyków starannie opracowany.

Najsłabszą stroną Warszawy teatralnej była twórczość dramatyczna literacka. Scena słynęła z dobrych aktorów, znakomity resonans był w prasie. Z utworów, to co było z wielkiego repertuaru, pochodziło z Galicji. Twórczość warszawską charakteryzowały w ostatnich lat dziesiątkach XIX w. i w wieku XX takie nazwiska, jak: Lubowski, K. Zalewski, Kozłowski, Przybylski, Perzyński (i ten talent raczej rodem z Krakowa). Jaroszyński, Krzywoszewski, Kiedrzyński, Wroczyński, Konczyński. To, co było w tej twórczości czysto warszawskiego, znalazło swój najdobitniejszy wyraz w Krzywoszewskim.

Nie trzeba sobie robić co do Warszawy złudzeń — to był właściwy poziom kultury warszawskiej w czasach schyłkowych przed odrodzeniem Polski. Krytyka miała tutaj wiele do roboty, żeby podciągnąć Warszawę na wyższy poziom uciech artystycznych. Z tego stanowiska trzeba oceniać zasługę Lorentowicza, sumiennie oddanego swemu powołaniu instruktora publiczności i aktorów.

*

Pociągnięci sensacyjnym tytułem książki („Spowiedź Chinki” — *East Wind, West Wind* — Pearl S. Buck. Warszawa—1935. Towarzystwo Wydawnicze „Rój”. Z upoważnienia autora przełożyła Wanda Kragen, str. 280), z rosnącem zaciekawieniem odwracamy kartki pamiętnika młodej Chinki, żyjącej w dobie gwałtownej europeizacji „zaśniedziałej” ojczyzny.

„Państwo środka” ukazano od strony zacisznych podwórzy babieńców, zajmujących lwią część zamożnego domu chińskiego.

Rozkosze pożycia w ścisłym zespole — walka o pierwszeństwo między nałożnicami i dumne odosobnienie jedynej, prawowitej pani domu, małżonki otyłego władcy tego udzielnego państewka, jakie doniedawna tworzyła posiadłość rodowa. Zmechanizowana, żyjąca na codzień wytartemi formułkami, psychika ludzi Wschodu, kryjących pod maską bezdusznej obojętności pustkę wewnętrzną i rytm zamierania... Karykaturalny przerost władzy rodzicielskiej, zwłaszcza nad młodemi dziewczętami, które w miarę starzenia się dopiero nabierają wartości ludzkiej — w sensie należnego szacunku i powagi w społeczeństwie.. wymyślna tortura krępowania nóg Chinek — oto, znane przeważne cechy starej, wyrafinowanej kultury, z jakiemi przyszło walczyć białym cywilizatorom i ich żółtym, fanatycznym wyznawcom.

Jako rekompensatę powabu i wdzięku życia, zagubionych gdzieś podczas całkowitej zmiany dekoracyj we wnętrzach domostw, otrzymują „biedni barbarzyńcy“ nowoczesną eugenikę i patentowane środki sanitarne. Pomieniał się stryjek...

Autor jest na rozdrożu: z jednej strony żal mu chińskich cieni, jednak z bezwiedną dumą stwierdza przemożną siłę i zdolność asymilowania, właściwą przyniesionej z krańca świata dobrej nowinie.

Nieda się tego, niestety, powiedzieć o pełnej finezji linij i barw, gasnącej wizji starych Chin.

Przekład orjentalnej powieści nie bez wystarczającej racji, „zalatuje” chwilami egzotyką. Posłuchajmy: urocza Kuci-lan zawsze niesyta jest uwielbienia dla rozumu swego, małego synka — „On wie wszystko, ten łobuz!” (str. 242). Jakżeżby nie?! — „Jest przecież całym mężczyzną” (str. 279).

Otóż i kwiatki, uszczknięte z wonnej niwy Ogrodu Krasińskich. (St. J.)

TEATR

„ŻOŁNIERZ i BOHATER” — TEATR MAŁY

AKCJA owej, nie tyle może młodzieńczej, ile raczej jednej z najwcześniej napisanych, wystawionej na scenie po raz pierwszy w roku 1894, trzyaktowej komedyjki trzydziestoośmioletniego podówczas Bernarda Shawa pod tytułem *„The Arms and the Man”*, którą w ubiegły piątek mieliśmy okazję oglądać w Teatrze Małym — rozgrywa się na półwyspie bałkańskim, mianowicie w Bułgarji, w roku 1885, podczas wojny bułgarsko-serbskiej. Z niewiadomych niewtajemniczonym w sekrety polityki zakulisowej powodów tłumacz komedyjki, pan Florjan Sobieniowski, zapewne w porozumieniu z kierownictwem literackiem Teatru Małego, przeistoczył historyczną wojnę bułgarsko serbską w urojoną, wyssaną z palca kampanję albańsko-montenegryjską. Wolno się nam domyślać, że pobudką, która skłoniła pana Florjana Sobieniowskiego do takiego sprzeniewierzenia się tekstowi shawowskiemu, były względy natury dyplomatycznej. Najprawdopodobniej tłumacz nie chciał sprawiać przykrości panu posłowi Jego Królewskiej Mości króla Borysa bułgarskiego, którego kraj i którego poddani zostali przez Bernarda Shawa skarykaturyzowani bardzo złośliwie. Co tu gadać — poprostu osmarowani smołą. Reprezentanci narodu bułgarskiego, występujący w sztuce, są przedstawieni jako zgrubsza nawet nieoskrobani barbarzyńcy, nieoświeceni niemal wcale prostacy, a nadobitkę niewiarogodni brudasi, którzy kąpieli nie używają nigdy, ponieważ wierzą najmocniej, iż jest angielskim wymysłem, bardzo szkodliwym dla zdrowia, myją się zaś conajwyżej raz na tydzień. Ponieważ równie dla nas, jak Bułgarja, egzotyczna Czarnogóra, pochłonięta po wielkiej wojnie przez Królestwo Jugosłowiańskie, przedstawicielstwa dyplomatycznego ani w Warszawie, ani już nigdzie na świecie nie posiada, i wobec tego niema kto ujmować się za piękną ojczyzną hrabiego Daniła z „Wesołej wdówki” — przeniesiono bez najmniejszej ceremonji akcję widowiska z Bułgarji do Czarnogóry. Skorzystajmy skwapliwie z nadarzającej się sposobności i zacytujemy w tem miejsce oklepane francuskie przysłowie: *„Les absents ont toujours tort”*.

W angielskim tytule oryginalnym, którego przekład dosłowny, niemożliwy oczywiście do przełknięcia, brzmiałby po polsku zgoła bezsensownie: „Broń i człowiek”, ewentualnie nieco poprawniej i sensowniej: „Oręż i Mąż” — prześwieca zupełnie wyraźna, ironiczna aluzja do dwu początkowych wyrazów pierwszej księgi Wirgiljuszowej „Enejdy”: *„Arma virumque”*. Pokolenie przedwojenne widzów teatralnych i czytelników, dla którego Bernard Shaw sztukę swoją na schyłku ubiegłego wieku przeznaczał — miało — jego zdaniem — na wojnę, na żołnierza, na bohaterstwo wojskowe najczęściej poglądy konwencjonalne, urobione przez bardzo głęboko zakorzenioną suggestję poezji i sztuki romantycznej. Poezja zaś i sztuka romantyczna suggestję ową wraz z dobrodziejstwem inwentarza odziedziczyła po epopejach i tragedjach klasycznych. Otóż Shaw w „Żołnierzu i bohaterze” uwziął się udowodnić dyskursywnie (nie posuwając się aż do wywlekania na scenę okropności wojennych), że prawdziwa wojna nie wygląda bynajmniej tak — jak ją przedstawiała za czasów, kiedy sztukę swoją pisał — większość batalistycznych obrazów i teatralnych tyrad. Przed Shawem suggestję romantyczną z poglądów na wojnę starał się wykorzenić programowo Emil Zola w naturalistycznej powieści wojennej p. t. *„La Debâcle”*. Po Zoli czynił to długi szereg innych literatów, przeważnie pacyfistów i antymilitarystów. Pokoleniu dzisiejszemu, które wojnę przeżyło i zdążyło w dodatku przeczytać Remarque'a — udowodnianie shawowskiej tezy musi się wydawać zbyteczne.

W pierwszym akcie sztuki widzimy na scenie z woli inscenizatorów, a wbrew wyraźnym intencjom autorskim — Cetynję. Bohaterscy Czarnogórcy pod komendą oficerów rosyjskich rozbili armję albańską, komenderowaną przez austrjaków. Ulicami miasta umykają albańscy maruderzy, ścigani przez zwycięzców. Jeden z owych uciekinierów włazi przez niedomknięte okno do panieńskiego pokoiku uroczej Rainy Petkow. Osmolony. Obdarty. Kieruje w pierś dziewczyny rewolwer. „Jeśli mnie wydasz — zginiesz”. Goniący za zbiegiem czarnogórcy dobijają się do drzwi. Dowódca ich, oficer rosyjski, postanowił zarządzić rewizję domu. Zdjęta nagłym przypływem litości Raina ukrywa nieszczęsnego uciekiniera i ocala mu życie. Czarnogórcy i pełen galanterji dla dam

moskal — odchodzą z niczem. Niebezpieczeństwo minęło. Pomiędzy uciekinierem a jego wybawicielką nawiązuje się rozmowa. Okazuje się, iż zbieg jest z pochodzenia szwajcarem. Nazywa się Blundschli. Jako szwajcarski oficer zawodowy — posiada w armji ojczystej rangę kapitana — zaciągnął się na ochotnika do wojska albańskiego. Młoda para rozmawia o wojnie. Poglądy na nią mają odmienne. Dla Blundschlego wojna jest poprostu rzemiosłem. Pierwsza jej zasada brzmi: Napędzać stracha przeciwnikowi, żeby ocalić własną skórę. Przed chwilą Blundschli groził Rainie rewolwerem, który wcale nie był nabity, a pomimo to spełnił swoje zadanie. Blundschli w ładownicy i po kieszeniach nosi zamiast nabojów czekoladę. Z tego powodu Raina nazywa go „żołnierzem czekoladowym". Raina jest to panna romantyczna, oczytana w poematach Byrona. Rodzice jej należą do jednego z najznakomitszych czarnogórskich rodów. Posiadają oni jedyną w całym kraju prywatną bibljotekę.

Nie dosyć na tem. W bibljotece owej kazali zainstalować dzwonek elektryczny. Panna Raina Petkow jest zaręczona z młodym i bardzo dorodnym „bohaterem narodowym Czarnogóry, piastującym" — jak powiada — „wysoką godność majora". Temu bohaterowi narodowemu na imię Sergjusz. Okrył się on niedawno nieśmiertelną sławą, poprowadziwszy szarżę kawalerji za armaty albańskie. (Kierownictwo literackie teatru Małego oraz tłumacz sztuki Shawna—nie zwrócili zgoła uwagi na szczegół, iż szarża kawalerji w Czarnogórze jest zjawiskiem absolutnie niewiarogodnem). Blundschli komenderował właśnie oddziałem, na który szarżował Sergjusz. Ku ogromnemu zdziwieniu i zgorszeniu Rainy, „czekoladowy żołnierz" ośmiela się drwić z bohaterskiego kawalerzysty, który go zwyciężył. Szarża kawaleryjska na armaty (czy też może na karabiny maszynowe, bo dobrze nie pamiętam) była zdaniem Blundschlego, z punktu widzenia nowoczesnej strategji kompletnem głupstwem. Albańczycy rozbiliby niewątpliwie i zdziesiątkowali kawalerję czarnogórską, gdyby nie fakt, że fatalnie zorganizowana intendentura dostarczyła przez pomyłkę pocisków niewłaściwego kalibru. Jedynie i wyłącznie dzięki temu prozaicznemu faktowi Sergjusz mógł bezkarnie docwałować do pozycji albańskich w pozie i z gestami operowego tenora.

(Ten djalog shawowskiego „czekoladowego żołnierza" z Rain Petkow przypomina bardzo bajkę Anatola France'a pod tytułem *„Le petit soldat de plomb"*. W bajce tej chory na influenzę, mający wysoką gorączkę, autor „Wyspy Pingwinów" wyraził podczas rozmowy z ołowianym żołnierzykiem przypuszczenie, że gwardja francuska zaproponowała w bitwie pod Fontenoy oddanie pierwszej salwy gwardzistom angielskim przez odruch wzniosłej szlachetności, że to uniesienie rycerskości bezinteresownej podyktowało dowódcy francuskiemu historyczne słowa:

— Messieurs les gardes anglaises, à vous l'honneur de tirer.

Żołnierz ołowiany wówczas się oburza:

— Co pan sobie najlepszego myśli! Kazaliśmy strzelać pierwszym anglikom dlatego, że pierwsza salwa zazwyczaj bywa mało szkodliwa dla tych, do których jest skierowana. Strzela się ją prawie zawsze naoślep. Natomiast kłęby dymu po tej pierwszej salwie stanowią doskonały cel dla przeciwnika. Jakto, więc pan nie wie, że nasze regulaminy zabraniają nam otwierać ogień, zanim otworzy go nieprzyjaciel? Doprawdy, wielki z pana ignorant").

W dalszym ciągu sztuki Blundschli, człowiek trzeźwy, praktyczny, cywilizowany europejczyk staje się rywalem Sergjusza, bohaterskiego kabotyna, gadającego ciągle wzniosłe frazesy, puszącego się jaskrawym, operetkowym, kapiącym od złota uniformem. Współubiegają się obaj o serce i rękę Rainy. Ostatecznie zwycięża Blundschli. Na ojcu Rainy starym bułgarskim, t. j. przepraszam, omyliłem się, chciałem powiedzieć czarnogórskim notablu, wielkie wrażenie wywarła wiadomość, że przyszły jego zięć jest bogaczem. (Ojciec Blunschliego posiada aż dwieście koni. Jest hotelarzem szwajcarskim. Oprócz tego prowadzi przedsiębiorstwo wynajmu powozów). Sergjusz górnolotny bohater, który poetycznie klękał przed ubóstwianą narzeczoną i zwykł był całować skraj jej szaty ślubując jej dozgonną miłość po piętnaście razy na dobę — rozpoczął w połowie drugiego aktu bezpośrednio po wydeklamowaniu patetycznem wzniosłe i płomiennej tyrady pod adresem Rainy — ordynarny flirt z jej pokojówką, a właściwie nawet nie tyle pokojówką, ile poprostu dziewką służebną. Dziewkę ową zaczął podszczypywać dla odetchnięcia po ciągłem, okrutnie fatygującem wspinaniu się na niebotyczne wyżyny bohaterskości. Postradawszy miłość narzeczonej, żeni się z ową służącą a banalność owego mezaljansu osładza sobie pustym frazesem o szlachetnej bezinteresowności.

„Żołnierz i bohater" skomponowany jest po wodewilowemu. Racjonalność rozwoju akcji w owym utworze wiele pozostawia do życzenia. Autor nie wiele włożył wysiłku w pogłębienie charakterów i w uprawdopodobnienie nagłych przeskoków uczuciowych, jakie się dokonują w sercach jego postaci. Większość figur (właściwie wszystkie z wyjątkiem Blundschliego, który jest człowiekiem z prawdziwego zdarzenia) to poruszane zręcznie sznureczkami marjonetki.

Wykonawca roli Sergjusza p. Ziejewski, niepotrzebnie rolę tę przesolił i przepieprzył. Stworzył postać już nie farsową ale wprost cyrkową. Inni wykonawcy natomiast grali bardzo dobrze. Inteligentnym i dowcipnym Blundschlim był p. Węgierko. Pan Kurnakowicz jako stary Petkow i pani Buczyńska jako jego żona zbierali obfite oklaski. Bardzo ładnie wyglądały w kostjumach czarnogórskich panie Lindorfówna (Raina) i Gorczyńska (służąca). Dekoracje pana Śliwińskiego są efektowne, ale mało podobne do tych, jakie sobie wymarzył autor. Reżyserja naogół staranna, niektóre jednak sceny zanadto przeszarżowane. W sumie przedstawienie udane. Zasługujące na zobaczenie.

S. J. G.

FILM

CASINO: „Szkarłatny kwiat", reż. Aleksander Korda, film angielski.

Uroczy film. Tyle inteligencji, kultury i smaku nieczęsto się spotyka w utworach 10-tej Muzy. To jest właśnie robota europejczyków i tem się różni od amerykańskiej, która jeśli może nam imponować, to głównie techniką. Znakomicie wytrzymany styl epoki (Dyrektorjat), w czem również widać takt i smak europejczyka. Sceny we wnętrzach stylowych wyglądają wprost jak ożywione stare sztychy z owych czasów, a kocze, zaprzężone w rasowe konie, które uciekły z angielskich kolorowych rycin, pędzą przez soczyste, prześliczne pejzaże.

„Szkarłatny kwiat" to Anglik, sir Blakeney, który wraz z garstką przyjaciół, zakonspirowany pod tem imieniem, urządza pokryjomu wyprawy do Francji, tam ratuje ofiary rewolucji z pod noża gilotyny i wywozi je do Anglji. Francuscy rewolucjoniści oczywiście zastawiają nań sidła, lecz on jest nieuchwytny, dowcipny, nieustraszony, spokojny i drwiący. W Anglji, gdzie nikt nie podejrzewa nawet, kto jest „Szkarłatnym kwiatem", dla tem większej niepoznaki udaje bawidamka, gogusia, poprostu głuptasa.

Jednem słowem, oprócz dużych walorów plastycznych, naprawdę artystycznego podania treści, film posiada i fabułę sensacyjną. Dla tych zalet ogląda się ten utwór z prawdziwą przyjemnością i niesłabnącem (przy dobrem tempie) zainteresowaniem. Leslie Howard, w głównej roli, odtworzył kreowaną przez siebie postać przy pomocy gry bardzo subtelnej.

Jedno zastrzeżenie: arystokraci w tym filmie są tak zacni i sympatyczni, że niewiadomo poprostu, dlaczego lud żywi do nich taką nienawiść? Reżyser ukazał nam świat pewnej rzeczywistości, szkoda tylko, że nie dodał, przez czyje okulary tu ją widzimy?

Fotografja i kompozycja zdjęć — b. piękne.

KANDYD

POKŁOSIE

WŁADZA

JAK DONIOSŁY dzienniki, Zwiazek Pracowników Poczt, Telegrafów i Telefonów wystosował do ministra poczty memorjał o nadanie pocztowcom przywileju korzystania z radja zadarmo. Interesujący ten dokument tak m. in. motywuje swe życzenia:

„Możnaby również, uwalniając pracowników od opłaty radjoabonamentu, nałożyć na nich pewne dodatkowe obowiązki... Nie wiemy, jakie wyniki daje praca kontrolerów Polskiego Radja, lecz niewątpliwie najlepszymi kontrolerami byliby pracownicy pocztowi, zwłaszcza listonosze. Nikt lepiej nie podpatrzy radjopajęczarzy, jak listonosze przy swoim codziennym obchodzie i znajomości wszystkich radjoabonentów. Należałoby tylko dać im możność szybkiego działania, gdyż dzisiejszy system zawiadamiania urzędu, a następnie przez urząd policji, pozwala na zatarcie śladów zauważonego radjopajęczarstwa. Dlatego też pozwalamy sobie wysunąć myśl, że wzamian za bezpłatny radjoabonament należałoby na każdego funkcjonarjusza Poczty nałożyć obowiązek natychmiastowego spisywania protokułów w wypadku stwierdzenia u kogoś używania odbiornika niezarejestrowanego. Protokuł taki, podpisany również przez osobę zainteresowaą, powinien mieć zastrzeżony ten sam walor prawny, jak protokuł policyjny..."

Jest to niewątpliwie „dokument chwili" pełen wartości. Nie wychodzi od jakiejś zakazanej jednostki, lecz od organizacji, mającej na pieczy nietylko materjalne, ale, według statutu, niewątpliwie i moralne interesy wielkiej grupy pracowników. I cóż w nim widzimy? Najpierw już nietylko zamiłowanie, bo to rzecz ludzka, ale pretensję do darmochy. Wprawdzie wskazane są pewne usługi, jakie obdarowani mają ze swej strony świadczyć, ale przecież nie wszyscy; poza listonoszami urzędnicy pocztowi normalnie nie obchodzą mieszkań nieumundurowanych obywateli, chyba tylko jako goście u znajomych, a mają korzystać z przywileju wszyscy. Z jakiej racji?

Ale już mniejsza z tem. To polowanie na rozmaite ulgi i zniżki tak się u nas rozpowszechniło, że trudno komuś robić z tego zarzut. Gorsza jest ta oferta wywiadu. Nie będziemy się rozwodzili nad zasadniczem stanowiskiem wobec wywiadu. Wiemy wszyscy, że jest on w wielu razach konieczny i obejść się bez niego niepodobna, a czasami wykonywanie tej funkcji graniczy z prawdziwem bohaterstwem. Mimo to jednak powinna tu więcej, niż gdzieindziej, obowiązywać zasada, żeby szewc pozostawał przy swoim kopycie; pozostawmy wywiad tym, którzy się zawodowo temu poświęcają. Gremjalną ofertę poświęcenia się wywiadowi w interesie Spółki Akcyjnej Polskiego Radja, złożoną przez związek, grupujący poważną liczbę urzędników o dużej rozpiętości skali kwalifikacyj umysłowych, uważamy za monstrualną. Nie jesteśmy przygotowani na to, żeby listonosza uważać za wywiadowcę, nie przypuszczamy, że oddając list ma on jednocześnie za zadanie węszenie po mieszkaniu za czemś, co mu się podejrzane wyda. Inaczej nie puszczalibyśmy go przecież za próg mieszkania. Czy tego chcą dopiąć autorzy memorjału? Jakiż ma być stosunek do odwiedzających nas znajomych urzędników pocztowych? Do licha, czy oni tylko samem radjem się interesują? Może złożyli i komu innemu podobną ofertę?

A to życzenie wyposażania pocztowców w uprawnienia, pozwalające im na wszczynanie dochodzeń i śledztwa, t. j. tych czynności, które wymiar sprawiedliwości, należący do sądów, odstępuje tylko na krótko specjalnemu organowi państwowemu, jakim jest policja! Tutaj przejawia się jaskrawo tendencja naszych czasów do mnożenia władz i poddawania obywatela coraz to liczniejszemu i srośszemu nadzorowi. Panowie pocztowcy pragną być także władzą, za nimi pójdą pewno kolejarze, dalej urzędnicy monopolu spirytusowego, tytoniowego, solnego, zapałczanego i t. d. Każdy przecież znajdzie coś do nadzorowania, wywiadu i protokułów. Obywatel ma znać mores i przemykać się milczkiem i chyłkiem wśród tych licznych przedstawicieli liczniejszych jeszcze władz i ma być zadowolony, jeżeli dzień przeżyje bez protokułu.

Niedawno była tendencja stworzenia z urzędów pocztowych czegoś w rodzaju agencyj handlowych (patrz wydawnictwo „Łącznika pocztowego"), dziś pocztowcy pragną rozszerzenia swych czynności i uprawnień w kierunku władzy nad społeczeństwem. A gdyby tak pozostać przy odbieraniu i doręczaniu korespondencji? Czy to nie dobra myśl? Zgodzilibyśmy się nawet na doręczanie szablonowe, t. j. wszystkich np. dzienników jednakowo, bez różniczkowania ich na sanacyjne i opozycyjne, które doręcza się później.

ARGUS

NA MARGINESIE

Był wojownik, który sobie powiedział:

— Dam największy dowód męstwa i zamiast tu w okopach popróżnicy siedzieć, powiem przeciwnikowi prawdę w oczy.

— Toż oni cię wprzód zastrzelą!

— Nie zastrzelą, bo oczywiście, żeby wykonać swój zamiar, wywieszę białą chustkę i przejdę na ich stronę. Tam im prawdę wygarnę. Pocałowaniem zatruję im duszę, przekonam, że źle wykonywają ideję swego wodza.

I poszedł, wygadał się, uściskano go i przekonano, że dobrze spełniają ideję wodza. Tem chętniej tam pozostał...

*

Z suggestyj prasy masońskiej. Informacje dzienników brukowych z frontu abisyńskiego:

— Cała taktyka Abisyńczyków polega na tem, ażeby wciągnąć wojska italskie jaknajdalej wgłąb swego kraju, i tam dopiero, gdy oderwą się od swoich podstaw operacyjnych, zadać armjom Mussoliniego decydującą klęskę... Stąd też zdobycze terytorjalne Włoch są sukcesami bez znaczenia, tembardziej, że bohaterskie wojska abisyńskie bronią każdej piędzi ziemi ojczystej z determinacją straceńców, i żołnierz włoski — mimo swojej przewagi liczebnej i użycia najnowocześniejszych rodzajów broni — potrafił opanować jedynie wąziutki całkiem pas pogranicza...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.